MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 27. WARSZAWA, 7 CZERWCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZMIANY

Do ULUBIONYCH, najhuczniejszych, najmniej, wydawałoby się, spornych twierdzeń obozu przewrotu majowego należy głoszenie, iż wzmocnił on powagę rządu w Polsce. Któż tego nie słyszał? Może właśnie wskutek osłuchania się, zamało się bada rzeczywistą treść tych zapewnień. A tymczasem i tutaj także w środku jest pustka.

Rządom pomajowym powiodło się bardzo dokładnie przeprowadzenie jednej z głoszonych przez nie zasad. Wydzwaniano mianowicie w tym obozie na wszelkie dźwięki żale i gromy z powodu wtrącenia się stronnictw sejmowych do przesileń rządowych i wpływania na ich załatwienie. Oczywiście, jak we wszystkich sprawach, tak i w tej, w biadaniach tych obozu obecnie rządzącego było zawsze trochę przesady a w pojęciach było i jest dużo grubego uproszczenia. Wobec tego, że konstytucja nasza, jak i inne, daje Sejmowi prawo pociągania rządu do odpowiedzialności t. zw. parlamentarnej, oraz zawiera w art. 58-mym nakaz ustąpienia rządu na żądanie Sejmu, porozumiewanie się Prezydenta Rzplitej ze stronnictwani parlamentarnemi w sprawie powołania nowego rządu, co mu powierza art. 45-ty konstytucji, jest bardzo zrozumiałym i wszędzie przy tym ustroju stosowanym sposobem zapewnienia nowemu rządowi oparcia i trwałości. Tylko nadmiar tego wpływania stronnictw na załatwianie przesileń rządowych jest tutaj zdrożny, a od takich przejaskrawień nie były wolne rozwiązywania przesileń w wielu innych krajach, nie wyłączając np. Francji lub Niemiec, oraz nie były one wolne w Polsce w okresie do r. 1926. Obecnie jednak, od czasu przewrotu majowego, niema jakiegokolwiek istotnego porozumienia się ze stronnictwami sejmowemi w sprawie załatwienia przesileń rządowych. Jeśli wyjątkowo było, to dla celów gry politycznej, wcale nie od strony grup sejmowych lecz od strony kół rządzących, jak w grudniu 1928, gdy potrzebna była jakaś odskocznia dla przejścia od rządu p. Świtalskiego do rządu p. Bartla, lub jak w marcu 1930, gdy po ustąpieniu p. Bartla potrzebne było przewleczenie, do którego dał się niezrównanie użyć p. Szymański aż do chwili mianowania kogoś innego, mianowicie p. Sławka. Naogół zaś nietylko niema porozumiewania się, ale zazwyczaj samo otwarcie przesilenia jest niespodzianką, a sposób załatwienia go zwykle jeszcze większą niespodzianką. W rozkoszach niespodzianki uczestniczy w całej pełni najmniej zawsze o czemkolwiek wiedzący klub B.B. Współpracy z Rządem, który zresztą głównie temi posunięciami się przejmuje.

Lecz rządom pomajowym powiodło się niemniej gruntownie coś więcej jeszcze. Mianowicie ogół społeczeństwa coraz widoczniej, w miarę zapoznania się ze sposobami działania rządów pomajowych, nie przywiązuje wagi do tych zmian rządowych i nie zajmuje się niemi w jakikolwiek sposób żywszy. Jedyna rzecz, która na krótko jeszcze budzi jakieś zajęcie, niepozbawione zabarwienia wesołością rzeczy głęboko smutnych, to stopień nieprawdopodobieństwa, osiągnięty w nowych mianowaniach.

Gdzież powód tego zobojętnienia?

Zmiany na stanowisku kierownika rządu i członków rządu budzą zajęcie, często do najwyższej miary napięte, tam, gdzie wchodzą w grę wybitne osobistości, oparte o poważne zabarwienia przekonaniowe. Jest rzeczą ważną we Francji i bardzo poruszającą umysły, czy na czele rządu staje p. Poincaré, czy p. Herriot, czy p. Briand, czy p. Tardieu. Jest rzeczą doniosłą w Anglji, czy przy-

chodzi rząd p. Baldwin'a z p. Churchill'em jako ministrem skarbu i p. Chamberlain'em jako ministrem spraw zagranicznych, czy też rząd p. Ramsay Macdonald'a z p. Snowden'em jako ministrem skarbu i p. Henderson'em jako ministrem spraw zagranicznych. Jest rzeczą nie pozbawioną znaczenia w Niemczech, czy jest rząd p. Luther'a, czy p. Hermana Müller'a, czy p. Bruening'a. Tam bowiem wchodzą w rachubę poglądy i osobistości.

Lecz komużby u nas wogóle zjawiła się myśl zastanawiania się nad tem, czy lepszy jest p. Świtalski, czy p. Sławek, czy p. Prystor? Któżby pogrążał się w dociekania, który z nich, na podstawie poprzednich swych prac, lepiej przygotowany jest do gospodarczego i politycznego rządzenia państwem? Kogóżby nawiedziło przypuszczenie, że zmianie odpowiada jakaś różnica w poglądach lub w umiejętnościach, któraby ją wyjaśniała? Któżby wszedł na zuchwałe drogi jakiegoś stopniowania między p. Świtalskim, p. Sławkiem, p. Prystorem w doskonałości rządzenia trzydziestomiljonowem i tysiącletniem państwem?

To zobojętnienie i to lekceważenie zmian na najwyższych stanowiskach państwowych jest, w zakresie przesileń, niewątpliwym dorobkiem obecnych usprawnionych, podniesionych, udoskonalonych, uświetnionych rządów. Czy takie zobojętnienie i lekceważenie może być wogóle znamieniem poprawy? Odpowiedź mieści się w samych pojęciach zobojętnienia i lekceważenia.

Obóz rządzący nie przeczy wcale, że tak jest, przyznając, że do zmian na stanowiskach rządowych, ze stanowiskiem kierownika rządu włącznie, nie przywiązuje się obecnie większego znaczenia. Ale zarazem daje objaśnienie. Mówi mianowicie, że to wszystko jedno, skoro wszystkie rządy są rządami p. Piłsudskiego.

Tuśmy was szukali. Bo przecież nikt się o to z obozem rządowym spierać nie będzie, że jest tak, jak on mówi, gdy twierdzi, zupełnie słusznie, że wszyscy kolejni kierownicy rządów i wszyscy ministrowie okresu pomajowego są tylko wykonawcami woli lub wręcz rozkazów p. Piłsudskiego. Tu zgoda jest zupełna.

Cała rzecz jednak w tem, czy to jest poprawa, czy pogorszenie. Wszakże bowiem stanowisko prezesa ministrów i ministra nie jest w państwie stanowiskiem bylejakiem. Zadania i odpowiedzialność tych stanowisk są w konstytucji, a także w każdem prawidłowem życiu państwowem, bardzo dokładnie określone. Wedle art. 45-go konstytucji prezes ministrów jest odpowiedzialny za dobór członków rządu, a wedle art. 43-go, 45-go i 56-go konstytucji każdy minister jest bezpośrednio odpowiedzialny za powierzony mu dział życia państwowego. Jakże z temi podstawowemi zasadami odpowiedzialności, która była, jest i będzie główną ostoją prawidłowego ustroju, można wogóle godzić wyznaczanie przez kogokolwiek ministrów lub wykonywanie przez prezesa ministrów i przez poszczególnych ministrów czyichkolwiek poleceń i rozkazów? Można mówić, że tak jest, ale nie można mówić, że tak jest dobrze.

Tu tkwi właśnie jedno z głównych zwichnięć i zboczeń naszego życia państwowego w okresie pomajowym. Każdy prezes ministrów i każdy minister obejmuje swe stanowisko w państwie w sposób prawny tylko na podstawie obowiązującej konstytucji, która bardzo ściśle określa własną odpowiedzialność. Jeśli ustawicznie się słyszy, że członkowie rządu mówią o tem, z dumą lub bez dumy, co jest całkowicie obojętne, że są wykonawcami woli i rozkazów p. Piłsudskiego, są to pojęcia i podstawy działań państwowych, całkowicie obce konstytucji, która jednak obowiązuje. Rozbrat zaś między prawem i rzeczywistością nigdy nie jest poprawą, lecz zawsze pogorszeniem podstaw życia państwowego.

Może to i pięknie brzmi dla niektórych, gdy o zmianie w rządzie używa się określenia, wysuniętego ze strony obozu rządzącego, a mianowicie: zmiana warty. Ale to określenie właśnie tylko brzmi, a niczego rozumnego nie mówi. Bo zadania wartownika są zupełnie inne, niż zadania odpowiedzialnego ministra w państwie. Takiemi przesunięciami obrazowemi nie usunie się rzeczywistej treści zdarzenia: przyjęcia obowiązków i odpowiedzialności ministra Rzplitej.

Gadania gadaniami, ale rzeczywistość rzeczywistością. Ta rzeczywistość woła, że p. Prystor musi sobie i innym powiedzieć: przyjąłem obowiązki i odpowiedzialność prezesa rady ministrów Państwa Polskiego. Ta rzeczywistość woła, że pan Jan Piłsudski musi sobie i innym powiedzieć: przyjąłem obowiązki i odpowiedzialność ministra skarbu Państwa Polskiego. Tej rzeczywistości żadne gadania nie zmienią.

Myślący ogół zaś musi też rozważać bieg zdarzeń. Skoro są zmiany w rządzie, muszą być jakieś powody. Powodem zrozumiałym jest niemożność podołania zadaniom w dotychczasowym składzie i chęć dobrania składu lepszego. Gdy zadania państwowe są nietylko widocznie ale wręcz przytłaczająco ciężkie, myślący ogół tembardziej przeprowadza to proste rozumowanie. Nie widzi, dlaczego p. Prystor ma być lepszy niż p. Sławek, lub p. Jan Piłsudski lepszy niż p. Matuszewski. I wskutek tego w takiej zmianie nie upatruje niczego poważnego.

Chwila obecna i zmiana obecna są szczególnie pouczające. Istotnie bowiem stan rzeczy, szczególnie w zakresie gospodarczym, ale wcale nie w nim jednym tylko, bo także w wewnętrzno-politycznym, a bardzo dobitnie także w zewnętrzno-politycznym, jest bardzo ciężki, co obecnie przyznają już wszyscy. Jest to jedna z tych chwil,

w których nie zadziwiłoby hasło: najlepsze siły na pokład! A tymczasem dokonywa się zmiana, w której nikt ani-rusz nie dopatrzy się jakiegokolwiek polepszenia. Wszyscy ludzie wogóle jeszcze rozumujący, nawet usposobieni przychylnie dla rządów obecnych, nawet tkwiący w obozie rządzącym, nawet skłonni do upatrywania czegoś dobrego w każdej zmianie, stają tu wobec całkowitej zagadki. Jeśli tylko myślą i rozumują, bez względu na to, gdzie stoją, muszą stwierdzić, że tu jest coś nie w porządku.

Obóz pomajowy twierdził często, że celem jego było utrwalenie rządów w Polsce, zapobieżenie częstym zmianom, nienarażanie pracy państwowej na wstrząśnienia, wynikające z tych zmian. Tyle się słyszało o ciągłych zmianach rządów w Polsce przed majem 1926. Rządów tych, od Paderewskiego w r. 1919 do Witosa w r. 1926, było 12-cie. A w okresie pomajowym obecna zmiana jest 11-ta z rzędu, przyczem znaczenie tych zmian jest zwykle nieuchwytne. Jeśli ktoś widzi w tem oznaki polepszenia i otoczenia większą powagą stanowiska prezesa ministrów, można mu zazdrościć błogiej domyślności.

Zapowiadał również obóz pomajowy wcale często, że pokaże on Polsce nowe siły na kierowniczych stanowiskach. Jest to jedna z tych zapowiedzi, które dzisiaj brzmią najśmieszniej. Zamiast zapowiadanych wielkości oglądało się postacie z nieprawdopodobnego dla danych stanowisk zdarzenia. Jeśli ktoś się łudził, że może przecież okaże się coś nadzwyczajnego wbrew zwykłemu trybowi spraw ludzkich, jeden za drugim przykład potwierdzał, że jednak stare prawdy są nienaruszone, że człowiek umieć może to, czego się uczył, a nie umie tego, czego się nie uczył, że przynależność do takiej czy innej grupki nie robi z ludzi mężów stanu na zawołanie. Obecnie prawdopodobnie już nikt niczego i nikogo nie oczekuje. Dno beczki ukrytych a wielkich włodarzy państwowych jest całkiem odkryte.

A razem wszystko biorąc, jakże tu i mówić o poprawie rządów w państwie i wzmocnieniu ich powagi?

STANISŁAW STROŃSKI

UWAGI O FILOZOFJI HOENE-WROŃSKIEGO

(ODCZYT WYGŁOSZONY W POZNAŃSKIEM TOWARZYSTWIE FILOZOFICZNEM 12 MARCA R. B.)

MAM mówić dzisiaj o filozofji jednego z synów tej ziemi, Józefa Marji Hoene-Wrońskiego. Przyznaję, że wahałem się, czy poruszać to zagadnienie na posiedzeniu naukowem; niełatwa to bowiem rzecz, mówić o filozofji człowieka, którego jedni z całem przekonaniem ogłaszają za genjusza, inni zaś, z niemniejszą stanowczością, kwalifikują jako paranoika. Ale z drugiej strony, sam fakt istnienia tak jaskrawej różnicy zdań zaciekawia; intryguje uporczywość, z jaką są wygłaszane sądy na tyle skrajne. Poznając bliżej te sprzeczne stanowiska, dochodzimy do przekonania, że o pogodzeniu obu stron nie może być mowy: argumenty, jakie zdarza nam się słyszeć, mają zbyt mocne zabarwienie emocjonalne. Krótko mówiąc, przeciwnicy Wrońskiego skłonni są uważać członków Instytutu Mesjanicznego za manjaków; ci znowu napomykają o „bandzie piekielnej" (używając barwnego wyrażenia mistrza), stojącej wpoprzek planom i zamysłom zbawczym dla ludzkości.

Wobec takiej sytuacji, inteligentny ogół, który radby dowiedzieć się o Wrońskim i jego nauce czegoś pozytywnego, jest bezradny, nie wie, do kogo się ma zwrócić. Nawet większość osób pracujących na polu filozofji nie ma w tej sprawie wyrobionego zdania i wciąż zajmuje stanowisko wyczekujące. Przypuszczam, że redakcje naszych czasopism filozoficznych nie są całkowicie przekonane o wartości naukowej dzieła Wrońskiego; sądzę raczej, że o niej powątpiewają; jednakże drukują artykuły o filozofji absolutnej, na wszelki wypadek. Przypomina to zachowanie się niedowiarka, który zabezpiecza się na wypadek, gdyby miało się okazać, że piekło nie jest mitem.

Prowadząc już od dłuższego czasu wykłady dla grupy osób, interesujących się polskimi filozofami, byłem zmuszony zająć się także Wrońskim, o którym przedtem dochodziły mnie tylko ogólnikowe wiadomości z kilku stron. Zrażony brakiem krytycyzmu fanatycznych wyznawców Wrońskiego, z drugiej zaś strony pewnem zacietrzewieniem jego przeciwników, postanowiłem zbadać dostępne mi źródła bez uprzedzeń, z zupełnym spokojem. Praca ta jest w toku; niestety, nie mogę poświęcić jej tyle czasu, ilebym pragnął; narazie chciałbym podzielić się myślami, które mi się nasunęły, wierząc, że może to ułatwić pracę innym, przedewszystkiem zaś uważając za niezbędne poddać te tymczasowe wyniki fachowej kontroli. Taki jest skromny cel tego odczytu; może będzie to mały choćby krok naprzód na drodze ku ustaleniu bezstronnej, ściśle krytycznej oceny dorobku myślowego jednego z najdziwniejszych, najbardziej zagadkowych ludzi. Z takich usiłowań powstanie może kiedyś synteza, która jest obowiązkiem nauki polskiej i będzie spłaceniem przeszłości jednego z licznych długów. Trzebaż wreszcie wyjaśnić tę tajemnicę, wyraźnie stwierdzić, kim Wroński był, a jeżeli dokonał istotnie cennych odkryć, wywalczyć mu należne miejsce w szeregu myślicieli europejskich, nie pozwolić, aby autorowie obszernych nawet historyj filozofji przechodzili nad nim do porządku dziennego, albo zbywali go nic nie znaczącemi frazesami. [1])

Czy Wroński był przedewszystkiem matematykiem? Czy filozofem? Sądzę, że gdyby trzeba było jednym wyrazem scharakteryzować wielostronną i wieloletnią, gorączkową działalność tego człowieka, to należałoby raczej użyć wyrazu r e f o r m a t o r. Wroński wierzył i nigdy o tem nie zwątpił, że odkrył nieomylnie, na drodze rozumowej, środek na odrodzenie świata; i jeżeli co w jego umysłowości mogłoby nasuwać pewne podejrzenia,

---

[1]) Np. R. Falckenberg, „*Geschichte der neuren Philosophie,*" 1921, str. 592: „*Der Mathematiker Hoene-Wroński knüpft an Kant an*". I koniec.

to chyba właśnie uporczywość tej myśli i tej wiary. Wroński uważał się stale za odkrywcę przeznaczeń ludzkości, usiłował być apostołem jej zbawienia, pragnął uchronić przed zgubą, która w razie, gdyby jego nauka została odrzucona, niechybnie miała ją spotkać. Nauka ta obiecywała ludziom dojście do celu najwyższego, niosła „spełnienie zapowiedzi, jaką Mesjasz uczynił człowiekowi" („List do papieży").

Dziwnie brzmią takie słowa w naszych czasach! A jednak pomiędzy tamtemi czasami a teraźniejszością daje się dostrzec pewna analogja. Między epoką rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich a epoką wojny światowej i rewolucji rosyjskiej, był w ubiegłem stuleciu okres względnej ciszy, ale ciszy groźnej, jak po burzy i przed burzą, kiedy powietrze jest parne, atmosfera nasycona elektrycznością i raz po raz słychać głuche grzmoty. Teraz oto znowu, chociaż czasy są „pokojowe", zrobiło się jakoś niespokojnie na świecie; wydawać się może, że „zamęt rewolucyjny" wzrósł na siłach, spotężniał i pogłębił się — że ludzkość czeka nowa katastrofa, straszliwsza jeszcze, niż dotychczasowe.

W takich okresach, kiedy w powietrzu niejako wiszą wojny, rewolucje, przewroty polityczne, głębokie społeczne przeobrażenia — nie brak zwykle reformatorów. W tem, co oni głoszą, dziwnie się splatają chorobliwe majaczenia z genjalnemi przeczuciami. Zdaje mi się, że Wroński należy do tego typu ludzi; możnaby zapewne zestawić go z Saint Simonem, z Comtem. Jakże charakterystyczne są jego listy — do papieża, do cara, do mniemanego spadkobiercy wielkiej idei napoleońskiej, Małego Napoleona! Nie wystarczała Wrońskiemu cicha praca uczonego, mało mu było samej teorji: domaga się realizacji swych wskazań mesjanicznych, poucza, gromi, ostrzega, zaklina. Jest tragiczny, gdy jako starzec blisko 70-cio letni, walczący na bruku paryskim z nieustępliwą nędzą, wzywa uroczyście przyszłego namiestnika Chrystusowego do osłonięcia ludzkości przed grożącem jej jakoby bliskiem śmiertelnem niebezpieczeństwem. Albo gdy w kilka lat potem, w roku 1850-ym, raz jeszcze tłumaczy przeznaczenie świata, błagając — wciąż daremnie! — o nawrócenie z fatalnej drogi nieładu i zamętu. Zdumiewać musi nadludzka wprost jego wytrwałość w pełnieniu tego, co za misję swą na ziemi uważał. Pół wieku niezmordowanej pracy, zwykle w skrajnym niedostatku, wśród przeciwieństw i niepowodzeń, wobec obojętności świata uczonych! Niezłamany niczem, nie obawiając się nawet tego, czego my obawiamy się najbardziej: śmieszności — szedł niezłomnie własną drogą, nie zbaczając z niej ani na krok. Upór manjaka, czy wielki charakter genjusza? W tej chwili nie umiem jeszcze odpowiedzieć na to pytanie.

Naukę swą Wroński nazywał mesjanizmem, gwałtownie protestując przeciwko zastosowaniu tego terminu przez Mickiewicza do narodowej filozofji Emigracji. Bo też w istocie byłyby to dwa mesjanizmy zupełnie różne. Mesjanizm Wrońskiego — to synteza „absolutnej religji" z „absolutną filozofją". Mesjanizm wieszczów — to mistyczna i spirytualistyczna metafizyka, mająca wytłumaczyć sens najgłębszy potwornego faktu rozbiorów, niewoli i męki żywego narodu.

Nie będę się tu zajmował mesjanizmem Wrońskiego jako całością; zgodnie z tytułem odczytu, chcę dotknąć zasadniczych rysów jednej tylko z jego podstaw — absolutnej filozofji. Otóż ta filozofja, jako systemat, różni się — jak sądzę — zasadniczo od nauki Towiańskiego i wieszczów, a także od filozofji np. Cieszkowskiego; gdyby koniecznie chodziło o etykietę, powiedziałbym, że jest to odmiana racjonalistycznego idealizmu, pokrewnego może systematom Schellinga i Hegla. Nie zamierzam tu jednak zatrzymywać się nad temi domniemanemi pokrewieństwami [2]); jako systematyka, a nie historyka, interesują mnie pomysły, znajdowane u Wrońskiego, jako takie, a nie jako *jego* pomysły; ale myślę, że dokładne wyznaczenie miejsca filozofji absolutnej w całokształcie pokantowskiej filozofji idalistycznej obowiązuje bezwątpienia polskich historyków myśli filozoficznej.

*

W przedstawieniu podstaw filozofji absolutnej ograniczam się do rzeczy najistotniejszych, te zaś usiłuję ująć jaknajprościej. Proszę mi wybaczyć, jeżeli robić to będę trybem zbyt elementarnym; wydaje mi się, że trudno w tym kierunku zajść zadaleko, jeżeli się pragnie doprowadzić do istotnego wyjaśnienia pewnych kwestyj, a nie do dalszego zaciemnienia ich i powikłania. Zadanie sprawozdawcy utrudnia szczególnie chwiejność terminologji Wrońskiego, nie ułatwia go też styl górny jego pism, niekiedy w swej koturnowości wprost nieznośny, zupełnie zbytecznie z nabożeństwem naśladowany w polskich przekładach. Żeby Wrońskiego zrozumieć, trzeba go naprzód przełożyć na język prostszy, zwyczajny i bardziej współczesny; trzeba bardzo znacznie poskracać jego dzieła, opuszczając nieustanne powtórzenia, zapowiedzi tego, o czem czytelnik ma się dowiedzieć potem, i t. p. W wielu wypadkach nie obejdzie się bez odgadywania intencyj autora, bez interpretacji myśli, sformułowanych niejasno. Trudna to droga i pełna niebezpieczeństw, innej jednak nie widzę. Ograniczając się do parafrazowania i cytowania zdań samego Wrońskiego, nie postąpimy ani na krok naprzód. Trzeba się odważyć na samodzielną rekonstrukcję systemu. Jeżeli jedna taka próba nie doprowadzi do rezultatu, trzeba próbować na nowo, wychodząc z innych założeń; niewątpliwie zresztą zawsze znajdzie się ktoś, kogo żadne z proponowanych rozwiązań nie zadowoli, ale na to niema już rady.

Cała filozofja Wrońskiego opiera się na niewielkiej liczbie pojęć zasadniczych i około tych pojęć się obraca. Autor wprowadza je za pomocą terminów następujących: *l'être, le savoir, la réalité, l'Absolu, loi de création*, a więc, w literalnym przekładzie: byt, wiedza, rzeczywistość, absolut, prawo stworzenia. Nie może być mowy o wyrobieniu sobie poglądu na systemat filozofji absolutnej bez dokładnego zapoznania się z temi pięciu pojęciami. Tymczasem, czytając Wrońskiego i jego komentatorów, łatwo się przekonać, że przytoczone wyżej terminy albo są wieloznaczne, albo — jak absolut — niemal zupełnie nieokreślone. Porównywając teksty, można próbować ustalić znaczenia, w jakich te terminy bywają używane.

Ale naprzód musimy się zgodzić, chociażby prowizorycznie, na pewne tezy pomocnicze, stanowiące jakby rusztowanie, bez którego zamierzona rekonstrukcja nie mogłaby się obejść. Oto te tezy:

1. Otaczający nas *rzeczywisty świat* ciał i zjawisk, z którym zapoznajemy się przy pomocy zmysłów, jest światem *naszym*, co znaczy, że po-

[2]) Prawdopodobnie dałyby się stwierdzić także inne pokrewieństwa i wpływy, np. pytagorejskie, platońskie i neoplatońskie, Kabały.

znawane przez nas jego cechy i właściwości pozostają w pewnym związku z naszą ludzką organizacją psychofizyczną, z cechami i właściwościami aparatu poznawczego każdego z nas.

2. Istnieje rzeczywistość niezależna od jakiegokolwiek poznającego podmiotu, wiedza zaś o tej rzeczywistości, znajomość jej bezpośrednia, byłaby wiedzą absolutną.

To, co mam na myśli, wypowiadając te zdania, postaram się wyjaśnić na pierwszym lepszym z najprostszych przykładów. Przykłady takie są znane; ale przytaczam tu je bez wahania, ponieważ wydają mi się stosowną ilustracją, przytaczając je zaś, staram się zapomnieć, kto i kiedy używał ich przedemną. Widzę oto stół; należy on do otaczającego nas rzeczywistego świata. Ale oprócz stołu z obszaru mego codziennego doświadczenia, tego jasnego lub ciemnego, twardego stołu, istnieje też inny stół: ten naukowy elektryczny stół, z którym zapoznaje nas współczesna fizyka. Oba są rzeczywiste, chociaż pierwszy jest tak masywny, a drugi— to niemal próżnia; ale można chyba powiedzieć, że ten pierwszy jest czemś bardziej subjektywnem, bardziej specyficznie ludzkiem, niż ten drugi. Aby bowiem poznać elektryczną strukturę materji, uczeni musieli wysoko się wznieść ponad ograniczoność naszego zmysłowego postrzegania przyrody, musieli niejako wyzwolić się z pod władzy zmysłów, uniezależnić się od ich świadectwa. Jeżeli istnieją gdzieś inne niż my rozumne istoty, obdarzone odmiennym aparatem zmysłowym, a tylko podobnie do nas myślące, to ich stół pierwszy, należący do ich rzeczywistego świata, mógłby być zupełnie niepodobny do naszego, ale co się tyczy stołu drugiego, ich koncepcja mogłaby być do naszej bardzo zbliżona, może nawet matematycznie jej równoważna.

Poznawanie jest sprawą, odbywającą się pomiędzy poznającym podmiotem i przedmiotem poznawanym. Postrzegając, wyobrażając sobie, tworząc pojęcia, zawsze ujmujemy niezależne od nas przedmioty na swój sposób, według naszej natury. Modele, tworzone przez uczonych, nigdy nie są ostateczne; przypuściwszy jednak na chwilę, że fizycy współcześni odgadli rzeczywistą naturę materji, powiedzielibyśmy, że rzeczywistość materjalną, t. j. fantastycznie zawiły układ pól fizycznych, rojowisko niezliczonych bytów—protonów i elektronów — naogół zrzadka rozsianych w próżni, ujmujemy po naszemu, jako np. twarde, jasne i gładkie drewno. Na jakieś X, do którego w nauce, nie siląc się o odgadywanie jego istoty, dopasowujemy mozolnie coraz subtelniejsze, ale zawsze nasze konstrukcje, umożliwiające nam względnie pełny i niesprzeczny opis jego oddziaływań na nas, na to X w życiu codziennem patrzymy naiwnie przez okulary ludzkiej psychofizycznej organizacji, współtworząc tym sposobem nasze otoczenie, nasz świat barwny i dźwięczny, ciepły, szorstki i t. d. Każda w tym świecie „rzecz“ jest czemś objektywnem ze stanowiska niezależnej od nas rzeczywistości, jest jednak zarazem, gdy spojrzymy od strony poznającego podmiotu, jego postrzeżeniem. Doświadczenie zewnętrzne nie wyprowadza nas poza postrzeżenia, nie styka nas nigdy bezpośrednio z przedmiotami.

Otóż na tę właśnie dwoistość natury składników naszego otoczenia, tę samą dwoistość, którą Schopenhauer podkreślił już w tytule głównego swego dzieła, zdaje się kłaść nacisk Hoene-Wroński, kiedy mówi o „bycie" i „wiedzy", jako pierwiastkach rzeczywistego świata. Ten „byt", to jest to w rzeczy, co niezależne od naszego ujęcia, ani od możliwego ujęcia jakiejkolwiek odmiennej od nas istoty, zdolnej do poznawania; ta „wiedza", to nasz udział w rzeczy, właściwa nam forma ujęcia bytu.

Termin „wiedza", nie oddaje, oczywiście, tego znaczenia, które tutaj wskazałem. Niekiedy zresztą wyraz *savoir* ma u Wrońskiego istotnie znaczenie wiedzy rozumowej (gdy np. mówi się o „reformie wiedzy ludzkiej"); czasem znowu znaczy tyle co umysł.

Zauważmy, że przeciwstawienie „bytu" i „wiedzy" nie stanowi przeciwstawienia tego, co się nawzajem wyklucza, jak jest np. w wypadku bytu i niebytu. „Byt" wskazuje na przedmiotową, „wiedza“ — na podmiotową stronę naszego świata; są to dwa różne oblicza jednej i tej samej całości. Cokolwiek odnajdujemy w naszem otoczeniu, jest splątaniem „bytu“ z „wiedzą“, albo inaczej: „rozciągłości“ z „myśleniem“, czegoś pochodzącego z „ja“ z czemś pochodzącem z „nie-ja“.

Jeżeli powyższa interpretacja doktryny o wiedzy i bycie, jako składnikach owej „*réalité*“, co — według naszej umowy — znaczyłoby tu: świat rzeczywisty, jest słuszna, to trzeba stwierdzić, że Wroński nie wnosi tu nic nowego; jest tylko wiernym uczniem Kanta. Jednakże pewna trudność, na którą zaraz natrafiamy, przekonywa nas, że podana interpretacja nie tłumaczy nam jeszcze właściwej roli „wiedzy“ i „bytu“ w systemacie, jest tylko do tego tłumaczenia właściwym wstępem i przygotowaniem.

Trudność wspomniana polega na tem, że Wroński nieustannie mówi o poznaniu absolutnem, gdy tymczasem z zasadniczem kantowskiem stanowiskiem w gnoseologji łączy się w sposób naturalny pogląd na ograniczoność naszej wiedzy, na względną tylko wartość ludzkiego poznania.

Kiedy wypadło mi mówić o względnej wartości poznania, konieczne jest pewne wyjaśnienie, gdyż inaczej nie uniknęlibyśmy nieporozumień. Zgódźmy się nazywać prawdą stosunek faktycznej zgodności pomiędzy naszem przekonaniem (wypowiedzianem, lub nie), a postrzeżeniem, możliwem aktualnie, bądź w określonych, lecz w danej chwili niespełnionych warunkach; a także stosunek logiczny zgodności pomiędzy naszą myślą a inną myślą, uznaną przez nas poprzednio za prawdziwą, bądź z myślą, przyjętą jako aksjomat pewnego systemu dedukcyjnego. Otóż bynajmniej nie zaprzeczam, że fakt tego rodzaju zgodności, gdziekolwiek i przez kogokolwiek stwierdzony, pozostaje faktem zawsze i wszędzie — i w tem znaczeniu nasze ludzkie prawdy mógłbym nazywać bezwzględnemi. Ale tutaj chodziło mi zupełnie o co innego: o to, że każda z takich prawd, np. prawda o barwnym i twardym stole, znanym nam z życia codziennego, ma walor tylko w granicach pewnej określonej organizacji psychofizycznej, tylko dla danego gatunku poznających osobników. My, ludzie, obracamy się tylko bądź w sferze stosunków naszego ludzkiego umysłu, bądź w ramach naszego rzeczywistego świata; to samo dotyczyłoby każdego innego możliwego gatunku istot poznających; ale ani my, ani one (jeżeli istnieją), nie poznają nigdy samej rzeczywistości, t. j. „czystego“ bytu — tylko zaś takie poznanie miałoby cechę bezwzględności, w sensie, o który tutaj idzie, byłoby poznaniem absolutnem. Przez poznanie absolutne rozumiem

więc takie poznanie, które dla wszystkich istot, wszystko jedno, jakiemi obdarzonych zmysłami i jakim umysłem, miałoby wartość, to zn. sens i stosowalność praktyczną. Taką wartość, jaką ludzkie prawdy mają dla każdego normalnego człowieka. Jasna rzecz, że nasze poznanie otaczającego nas świata rzeczywistego, zawsze zależne w mniejszym lub większym stopniu od natury naszego umysłu i naszych zmysłów, warunku powyższego nie spełnia, t. j. dla innego możliwego gatunku podmiotów mogłoby być zupełnie bezwartościowe, nie jest zatem poznaniem absolutnem.

Tymczasem Wrońskiemu idzie właśnie o poznanie absolutne, o wiedzę zupełną, niczem niewarunkowaną. Zatem to, co on mówi, nie odnosi się widocznie do naszego potocznego poznawania otaczającego nas świata[3]) i użyty przezeń termin „*réalité*" nie tłumaczy się tu, jak widać, przez nasz termin „świat rzeczywisty", lecz oznacza to, co w drugiej tezie podałem jako „rzeczywistość". Ale cóż to znaczy? Odpowiedź jest prosta: Wroński wogóle nie zajmował się teorją poznania, lecz metafizyką; nie zatrzymując się na granicy, wskazanej przez Kanta, właśnie od przejścia przez nią rozpoczął, aby odkrycie gnoseologiczne dwoistości „bytu" i „wiedzy" przenieść do metafizyki i w ten sposób pokusić się o rozwiązanie podstawowego zagadnienia metafizycznego o istocie rzeczywistości.

(Dok. nast.) BOLESŁAW GAWECKI

[3]) Albo nie odnosi się tylko do poznawania.

NIECO O „DOBREM PIÓRZE Z TOLEDO"...

„Są dwie pobudki takowej pychy: jedna cenić za wysoko siebie; druga nie dosyć cenić drugiego".
Montaigne.

OD KILKU miesięcy krążą wśród naszego ogółu czytającego (także piszącego), budząc zainteresowanie, „Pamiętniki" Hipolita Korwina Milewskiego, wydane pod tytułem „Siedemdziesiąt lat wspomnień" (1855—1925 r.)*).

Autor tych „wspomnień", ziemianin z oszmiańskiego, człowiek światły, wykształcony (szkoły średnie oraz studja prawnicze w Paryżu), czynny w życiu publicznem, przytem bogaty, odgrywał przez długie lata, wśród swoich, w ziemi wileńskiej, a i wśród obcych (w rosyjskiej Radzie Państwa, na Zachodzie w czasie wojny) wybitną rolę, i znany był szeroko z niezależności swego zdania, z odwagi cywilnej, ze stanowczości postawy oraz ciętości słowa—mówionego i pisanego. Znany był wszakże i z mniej pociągających cech swego charakteru, mianowicie z niezwykle wysokiego mniemania o sobie, z przesadnego wyobrażenia o słuszności swoich poglądów i zapatrywań, o przewadze swojej myśli, swego rozumu nad intelektem swoich bliźnich.

O nim możnaby powiedzieć—*toute proportion gardée*—to samo, co J. Lemaitre powiedział niegdyś o E. Renanie: „*M. Renan se sent souverainement intelligent, comme Cleopâtre se sentait souverainement belle*"! („*Les Contemporains*", Tom 1-szy).

W tej „wszechmocy" swego rozumu, upatrywał autor „Wspomnień" swoją wartość najwyższą (sam gdzieś tu powiada, iż jest typem „mózgowym", nie zaś „sercowym"), pysznił się tem przy lada sposobności, lubował się tak kokieteryjnie w sobie samym z tego powodu, jak mogłaby np. jakaś „Kleopatra" lubować się w sobie z racji swej piękności.

Z takiego poczucia samego siebie wynikał stosunek p. H. Milewskiego do siebie i do ludzi, mianowicie: cenił siebie za wysoko, drugich zaś niedosyć, albo wcale; siebie podziwiał, o wartości myśli i czynów własnych nigdy nie wątpił, owszem zawsze był z nich zadowolony, szczycił się niemi, bądź się chwalił,—drugich natomiast ganił, za jedno i za drugie, z rozumu ich nie wiele sobie robił, działalność ostro krytykował, jeśli nie ośmieszał, bądź gardził nią.

*) Poznań 1930 r. Jan Jachowski, księgarnia Uniwersytecka str. 600.

Takim ukazuje się nam także w swoich „Wspomnieniach" — od najwcześniejszej młodości, przez całe siedemdziesięciolecie.

Schlebianie sobie samemu, podziwianie siebie, sięga tu nieraz szczytów komizmu, jest często rozbrajająco dziecinne, o ile nie jest wyniosłe i zarozumiałe.

Oto parę—z masy—przykładów: Przypominając, jakim był w dzieciństwie, autor nazywa siebie „przystojnym i przedwcześnie rozwiniętym malcem". Mówiąc o czasach szkolnych kiedy to w Liceum Bonapartego wbijano uczniom do głowy zasadę: „poznaj siebie samego", powiada, że panowała ona nad całem jego życiem, czemu zawdzięcza, iż mniej doznał „klap" od innych, bo nie brał się „do tego, czego nie miał mocnej nadziei dokonać" (str. 27).

Wspominając kolegów dorpackich, nadmienia, że „zostawał dla nich obcym", dlatego, iż wśród nich „panowały przeważnie samodziałowe czamarki, długie buty i wątpliwej czystości bielizna", podczas gdy on „nosił się po-zachodniemu". Rozkoszując się, po wielu latach, wspomnieniem trjumfu, odniesionego podczas egzaminu doktorskiego, (w paryskiej szkole prawa) przytacza słowa zwrócone do niego przez b. ministra oświaty: „byłoby stratą dla nauki prawniczej francuskiej, gdyby się pan jej nie poświęcił" (107). Tak samo rozkoszuje się wspomnieniem swoich trjumfów na polu pracy parlamentarnej, i skrzętnie notuje, jak to jedni nazywali go „krzewicielem konstytucjonalizmu w Radzie Państwa", inni „Korepetytorem" i „Dykcjonarzem Laroussea", a nawet „ulubionym słowikiem"—ze względu na rodzaj krasomówstwa; jak prezes Gołubiew sadzał go, na posiedzeniach komisyjnych, obok siebie — „bo widać, że Hipolit Oskarowicz będzie kierownikiem całej naszej pracy" (str. 229). Porównywając siebie z innymi polskimi członkami Rady Państwa, powie o sobie bez zająknięcia: „tylko ja jeden byłem już znany z prasy polskiej i rosyjskiej, jako posiadający te przymioty, których się zwykle oczekuje nie od miejscowego, lecz od parlamentarnego działacza" (239). Nieomieszka nadto położyć nacisku na to, że gdy zrzekł się mandatu (mniejsza o powód), w paro pismach, które omawiały ten fakt, nazwano gy „Petronjuszem Rady Państwa" i ubolewano, że

z jego ustąpieniem znika z widowni tej instytucji jej „cała poezja“ (299). Tak samo później, wyliczając swoje publicystyczne zasługi z okresu wojny światowej, przytoczy wyjątek z pisma francuskiego, które go nazywa „wielkim i wiernym obrońcą“ Francji.

Otóż ten poetyczny Petronjusz, jak zacznie mówić o swoich czynach i sukcesach petersburskich, to się dogada do tego, że był nawet, pośrednio, doradcą Mikołaja II w sprawie rozwiązania pierwszej Dumy, zmiany rządu i pozostawienia na jego czele A. Stołypina, nie mówiąc o tem, że tegoż Stołypina pouczał o różnicy między ustrojem konstytucyjnym, a parlamentarnym i musiał aż słowem honoru ręczyć, że w Stanach Zjednoczonych ministrowie są zupełnie od parlamentu niezależni (229).

Przypomni dalej światu i o tem, że u niego Bethmann-Hollweg „ukradł, z wszechświatowem historycznem powodzeniem, wówczas zupełnie nieużywane określenie traktatów międzynarodowych jako „świstków papieru” (379). A już jak przedstawi swoją działalność publicystyczną w Paryżu podczas wojny, jak to on tam „urządził Polsce reklamę”, ile swojem „dobrem piórem francuskiem”, a także — jak ktoś mawiał — „swojem dobrem piórem z Toledo”—napisał rozgłośnych i niezrównanych artykułów w różnych „*Débats*’ach” i „*Eclair*’ach”; artykułów jedynie słusznie ujmujących kwestję Polski niepodległej, z których dopiero opinja francuska dowiedziała się prawdy o istocie tego zagadnienia, — to czytelnik, niewychodzący z podziwu nad osobą świetnego publicysty i przewidującego wszystko polityka, może nabrać przekonania, że mąż ten, sam jeden, więcej zdziałał dla przyszłości naszej Ojczyzny, niż wszyscy inni, którzy, w tym samym czasie, usiłowali w Paryżu coś nie coś dla niej czynić.

Z takiem oto wygórowanem wyobrażeniem o sobie samym szło u p. H. Milewskiego równocześnie w parze niedocenianie drugich, albo wręcz obniżanie ich wartości osobistej oraz wartości ich czynów.

Wszyscy — z małemi wyjątkami — z którymi, w ciągu pół wieku swojej działalności, wypadło mu się stykać na różnych polach pracy, już nie mówiąc o tem, że nie mogli równać się z nim pod względem inteligencji, wiedzy i doświadczenia, ale byli też najczęściej w błędzie, szli do celu drogami nie właściwemi, albo krętemi, on tylko zawsze zmierzał prosto, uczciwie do niego, trafiał zawsze w samo sedno rzeczy i miał zawsze słuszność — bo zawsze rzetelnie dążył do prawdy, podczas gdy inni, błąkając się po bezdrożach, z prawdą wciąż się rozmijali: jedni dlatego, że posiadali mało rozumu, inni z powodu, iż to odpowiadało ich interesom życiowym. Kto szedł za jego zdaniem, nie był zaliczony, przynajmniej, do kategorji „spryciarzy”, szuj i głupców, kto zaś zdania tego niepodzielał, wypadał z łaski i był podejrzewany o rozmaite nieprawości, uchodził co najmniej za intryganta, jeśli nie za szubrawca.

Kolegów polaków np. z Rady Państwa przedstawia nam jako knujących przeciw niemu spiski, „konspirację zazdrości”—jak powiada— a to z powodu jego powodzeń w Izbie oraz, naturalnie, wyższości intelektualnej (str. 229); wszystkich prawie zalicza do kategorji „bylejakich” (*n'importe qui*, podług określenia znanego pisarza politycznego, Ch. Benoist).

Najbardziej wątpliwe—z polskiego, obywatelskiego punktu widzenia — postępki swoje uważał p. Korwin Milewski za dobre, za celowe ze względów politycznych i korzystne dla społeczeństwa. Tak rozgrzeszył siebie, bardzo zgrabnie, za udział w uroczystościach odsłonięcia pomnika Katarzyny w Wilnie (przy sposobności chwali się nawet, że na uczcie wyznaczono mu miejsce blisko jakiegoś Wielkiego Księcia), podczas gdy za ten udział urąga p. Konstantemu Skirmuntowi i kpi z jego późniejszej skruchy. On sam bić się w piersi nigdy nie czuje potrzeby, jest bowiem, w sumieniu swojem, zawsze bezgrzesznym.

Jak myślał o ludziach, jak ich oceniał, ze stanowiska swojej wyższości umysłowej i moralnej—tak też maluje ich w swoich „Wspomnieniach”, ostrząc na nich „swoje dobre pióro z Toledo”.

O najlepszych potrafi tyle złego powiedzieć, kładąc nacisk na to, co podług siebie upatrzył w nich ujemnego, pomijając natomiast ich strony dodatnie oraz niezaprzeczone zasługi i przymioty charakteru, że czytelnik nawet o dobrych znajomych swoich, o których miał b. korzystne wyobrażenie, zaczyna wątpić i podejrzewać o jakieś niecnoty.

Znałem np. dobrze ś. p. Józefa Montwiłła, z którym pięć lat kolegowałem w trzeciej Dumie, o tem, co zrobił dla Wilna, jako działacz społeczny i filantrop, mogłem się naocznie przekonać — i o tem głośno było nietylko w Wilnie — szanowali go przeciwnicy i zasług wielkich nie odmawiali—ze „Wspomnień” wszakże dowiedziałem się, że był to... czarny charakter, intrygant, wróg ziemiaństwa, na którego zgubę pracował całe życie i t.p.

Tak to „bezgrzeszny“ pamiętnikarz nieoszczędza nawet prawdziwych wybrańców tego społeczeństwa, do którego należał. Cóż mówić o jednostkach mniejszego znaczenia, albo o tych, które w istocie obciążone były pewnymi grawaminami, lub o takich, któremi można było pomiatać, drwić z nich i lekceważyć. Takim we „wspomnieniach“ dostaje się, co niemiara. „Dobre pióro z Toledo“— używa na nich, ile wlezie, przytacza wszelkie obiegające o nich plotki, każdemu przypnie jakąś łatkę, każdego w wątpliwym świetle ukaże, a przynajmniej w karykaturze.

Tu należy zwrócić uwagę na to, co jest osobliwością „wspomnień“ p. H. Milewskiego. Oto surowy pamiętnikarz, wyrokujący bezapelacyjnie o żywych i zmarłych, nieprzejednanym jest głównie w stosunku do swoich ziomków, wogóle do Polaków, natomiast jest nad wyraz łaskawy względem Rosjan. Nie wiem czy spotkamy na stronicach „wspomnień“ dwóch lub trzech Polaków, których autor charakteryzuje jako ludzi „zacnych“, tymczasem, przeciwnie, co drugi Rosjanin zaszczycony jest przez niego tym przymiotnikiem. I tak: „najzacniejszym“ jest generał-gubernator wileński, Nazimow, i prezes Rady państwa, Gołubiew, i minister Kriwoszein i paru innych wysokich dygnitarzy rosyjskich, a od „zacnych“, między którymi jest nawet generał-gubernator Bibikow, to się roi we „wspomnieniach“. Rzecz to, oczywiście, gustu, nie będziemy więc o to spierać się z autorem, niemniej nagłe stępienie, w tym wypadku, „dobrego pióra z Toledo“, świadczy o tem, że jego właściciel, gdy chciał, przechodził bez wysiłku większego od „typu mózgowego“ — do „sercowego“.

A teraz, jako niezrównany przykład rozmachu tego „dobrego pióra“ oraz dowód wyszukanego

smaku tego, co nim tak dzielnie włada, przytoczę ustęp następujący: „Naturalnie nie mogłem się dotknąć polskiego pióra (mowa tu o publicystycznej działalności autora w założonym przez niego „Kurjerze Litewskim"), żebym się zaraz nie potknął o... Adama Mickiewicza. Już w 1906 roku ten wielki człowiek, dzięki czterdziestoletniej reklamie, prowadzonej podług wszystkich prawideł nauki handlowej przez jego syna, Władysława, na swoją wyłączną i osobistą korzyść (—ani grosza dla siostry, Góreckiej, lub brata Józefa—) stał się u nas jedynem monopolowem uosobieniem całego narodu, nie w mniejszym stopniu niż Garibaldi u Włochów. Moi współcześni sądzili, że „Kurjer Litewski" bez inwestytury bożyszcza żyć nie może. Wiedzieli jednak, że oddając należyty hołd genjalnemu poecie i pisarzowi, uważam polityka, działacza i moralistę, wielbiciela zdrady, „ducha" nastroju i „tonu", a osobistego wroga rozsądku, jako niemniejszego truciciela duszy i myśli polskiej, jakimi byli dla narodu francuskiego J. J. Rousseau, a dla rosyjskiego, Tołstoj". (str. 203).

Niech czytelnik podziwia rycerską śmiałość „toledańskiej" stalówki, dla uspokojenia go wszakże powiem mu, że ta oryginalna szarża na Mickiewicza tłumaczy się tem, że Adam Mickiewicz wszedł w drogę p. Hipolitowi Milewskiemu i, jak wielu innych, dostał za swoje.

Jeśli autor „wspomnień" mógł tak bez ceremonji potraktować Mickiewicza „polityka i działacza", to już nikogo nie zdziwi, że wielu polityków współczesnych, którzy częściej i skuteczniej stawali na jego drodze, potraktuje bez najmniejszych względów, uciekając się w ocenie ich działalności do niegodnych insynuacyj, zniekształcając istotę rzeczy, puszczając w obieg fałszywe wieści, pomijając natomiast fakty sprawdzone, a ich samych charakteryzując już to jako nieudolnych dyletantów, już to jako szkodników narodowych albo pomniejszycieli Ojczyzny.

Rozdziały „Wspomnień", poświęcone działalności naszych polityków czasu wielkiej wojny w Paryżu, są wymownem potwierdzeniem tego, że ich autor, pragnący zawsze uchodzić wobec świata niemal za błędnego rycerza prawdy, tak często tu z nią się rozmija, iż wygląda raczej na rzecznika taniego fałszu i plotki niewybrednej, przeznaczonej dla gawiedzi, dla tych pogardzanych, „bylejakich".

Tego wszystkiego nie zbijam tu, nie prostuję, to bowiem, podług mnie, należy do tych, którym pamiętnikarz wymierza, po swojemu pojętą, sprawiedliwość...

Chodziło mi głównie o przedstawienie osoby pamiętnikarza w świetle jego własnych „Wspomnień", a to, jak mniemam, zostało już dokonane.

Jakąż wartość, jako materjał dla historyków, posiadają te „Wspomnienia"? Czy tu wszystko jest skażone, wskutek naczelnej wady charakteru moralnego pamiętnikarza, mianowicie pychy, czy wszelkie świadectwa wystawiane przez niego ludziom oraz ich czynom, nieodpowiadają rzeczywistości? Tak nie jest. Świadectwa te trzeba zawsze bardzo krytycznie rozważać, niemniej jednak pamiętnikarz nierzadko ma słuszność, gdy charakteryzuje ludzi i ocenia ich uczynki, a to dlatego, że — jak wspomniałem wyżej — ma odwagę swego zdania i nie liczy się z przeciętną opinją publiczną, opartą często na kłamstwie konwencjonalnem. Nieraz więc trafia dobrze, miałby wszakże o wiele więcej słuszności, gdyby z mniejszem zarozumialstwem ciskał na ludzi oraz ich sprawy swoje wyroki—z nadmiernie wyśrubowanej wysokości swego majestatu...

Na usprawiedliwienie licznych uchybień autora „Wspomnień" w tej mierze, można przytoczyć jedno, mianowicie, że pisał je człowiek sędziwy, niepewny dni swoich, wyzuty z mienia wskutek wypadków wojennych, a także rozgardjaszu panującego w Rzeczypospolitej; człowiek rozgoryczony i rozżalony na ludzi, mierzący ich przewinienia — miarą strat poniesionych i zawodów doznanych.

Napisane są te „Wspomnienia" bardzo złą polszczyzną (po francusku autor pisze znakomicie);— polskim Saint-Simon'em p. Korwin Milewski nie zostanie. Ten największy pamiętnikarz Francji, był wielkim pisarzem i wielkim artystą, chociaż — jak twierdzą niektórzy — (np. E. Faguet) nie odznaczał się inteligencją, p. Hipolit Milewski, przeciwnie, inteligencji ma dużo, pisarzem wielkim wszakże nie jest, i nie jest artystą: to też pierwszy umiał znakomicie malować ludzi, drugi potrafi lepiej ich osmarować.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

KRZYWDZIE

Pragnąłbym bliskich swoich błogosławić szczerze,
A muszę przekląć. Gorzkie, zaprawdę, przekleństwo,
Krwią własną obryzgane, jak nagłe szaleństwo
Pomsty za krzywdę duszy. Krzywda... — straszne zwierzę!

Łzy moje — morze słone: serca nie napoją.
Męka moja — pustynia, której słońce katem.
Tęsknota — gwiazd mgławica daleko za światem.
Miłość... Gdzie jesteś, która się nazwałaś moją?

Przekleństwo krzywdzicielom! Przekleństwo krzywdzonym!
Przekleństwo dzieciom krzywdy w djabelskiej omietli,
Dopóki się ostatni cierń krzywdy nie zetli
Na całopalnym ducha stosie okrwawionym!

Tak niech będzie! A żagwią zapłoniesz ty oto,
Nie z ksiąg uczona, święta oburzeń prostoto!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

TSL i odrodzenie narodowe w Małopolsce. — Skąd się wziął cud Lwowa i jego orląt? — Co wadziło „sanacji" TSL i na co mu ono potrzebne?

KIEDYM poraz pierwszy wyjrzał z zaboru rosyjskiego do Galicji (było to w roku 1892), natknąłem się w Krakowie na ludzi, apostołujących pracę oświatową wśród ludu. Ponieważ sam żyłem w Warszawie w atmosferze podobnych apostołów (redakcja „Głosu", Brzeziński), więc znalazłem się, jak u siebie w domu. Do tego stopnia, że odrazu zacząłem machać w „Nowej Reformie" artykuły „W sprawie oświaty ludu wiejskiego", z których redakcja zrobiła uprzejmie odbitkę broszurową.

Redaktorem „Nowej Reformy" był wtedy Adam Asnyk, sekretarzem redakcji Ernest Adam. Koło Adama skupiało się kilku młodych ludzi ideowych, ascetycznych, którzy, jak się później pokazało, stanowili w Krakowie zaród ruchu odrodzenia narodowego. Obracając się w tej sferze, poznałem Kraków zgoła odmienny od tego, który nam teraz pokazuje Boy-Żeleński w swoich barwnych a lekkich, jak zielony balonik, wspomnieniach o Krakowie Michalika i Przybyszewskiego. W tej atmosferze, której zaznałem, zanosiło się raczej na Wyspiańskiego. Hejnał z wieży Marjackiej nie raził dusz młodych, owszem zestrajał się z pieśnią czasów nowych.

Nie raził też stary Asnyk. Z niego młode pokolenie garnęło dorobek myśli pozytywistycznej, która uczyła, że z żywymi naprzód trzeba iść, opierając odrodzenie na pracy, odrodzić zaś trzeba naród przez uświadomienie zadań historycznych. Nieświadomemu na nic w ręku szabelka. Robota oświatowa stawała się programem, uzupełniającym syntetycznie tradycje powstańcze pracą oświatową nad społeczeństwem.

Tutaj wzięło początek T. S. L. — Towarzystwo Szkoły Ludowej, założone przez E. Adama pod firmą prezesa Asnyka.

Patrzyłem potem przez lat kilkanaście na rozwój tej instytucji i na równoległy rozwój Sokoła, starszego od niej o lat dwadzieścia. Szkółka elementarna robiła oczywiście swoje, ale pozostawiona sobie bez tych dwu aparatów społecznych, nie byłaby w stanie nadać społeczeństwu małopolskiemu postawy narodowej.

Wszystko, co było dodatniego w instynktach narodowych ludu i inteligencji, znalazło ujście w pracy nad rozwojem tych dwu organizacyj. Było to szkolenie umysłowe i ćwiczebne mas, ale w tej pracy znalazła swoją szkołę inteligencja. To nie był już frazes poetycki „z polską szlachtą polski lud" — to był fakt realizowany bez przymusu, radośnie, z głębokiego poczucia twórczego. Zwłaszcza Małopolska wschodnia, zasiana sokolniami, szkołami i domami ludowemi, szybko się cywilizowała. Gdyby nie ta praca, tak rzetelnie demokratyczna i narodowa, nie dogadalibyśmy się dzisiaj po narodowemu z tą dzielnicą — ani z ludem, ani z inteligencją. Zapewne, nie zdążyło się zrobić wszystkiego, ale przynajmniej zgrubsza społeczeństwo się odaustrjaczyło. Pamiętajmy, że nie tak dawno były czasy Szeli i jeszcze żył w Stapińskich duch szkoły ludowej austrjackiej.

Gdyby nie ruch narodowy wszechpolski, który z pracą kulturalną w sposób naturalny się wiązał i znalazł wreszcie grunt dla poczynań politycznych, sprawa polska nie byłaby uznana za żywą na początku wieku dwudziestego. Walka z rozrostem Polski znalazła wyraz w ukraińskiej polityce Austrji. Gdyby nie praca takich organizacyj narodowych, jak T. S. L. i Sokół, walka o Małopolskę wschodnią byłaby dla nas przegraną. Kto ją dla Polski ocalił? „Z szlachtą polską polski lud". Jest to owoc narodowej pracy kulturalnej. Nie szkodzi w faktach historycznych widzieć cudowność, w tym wypadku cud Lwowa i jego Orląt; ale rzeczą historji jest r o z u m i e ć tajemnicę cudownych faktów.

W tem miejscu rodzi się refleksja: czy już czas o tych rzeczach mówić, czy już czas na historję nowej Polski? Czy wszyscy w całej pełni cieszą się z Polski? Czy niema takich, którzyby woleli, aby wypadki poszły za logiką planów austrjackich? Czy pora jest właściwa na przedstawianie TSL i Sokoła do orderu Polski Odrodzonej? Czy w objawach nienawiści do obozu narodowego dzisiejszego niema przypadkiem żalu do dziejów, że tak się stało, jak jest?

Uchylamy te pytania, jako niewłaściwe. Wszystkie fakty, któreby do ich stawiania upoważniały, pochodzą z ciężkiej niemocy duchowej ludzi obłąkanych doktryną. A niepoczytalności pytań stawiać nie należy.

Sprawa TSL stała się obecnie aktualną z powodu gwałtownego afektu, jakim dla tej instytucji zapłonęła „sanacja". Co ona pragnie w TSL „uzdrowić"? Ducha. Oświata prowadzona była tam w duchu narodowym polskim, obecnie obowiązujący jest duch „państwowy". Polska daje coprawda firmę Rzeczypospolitej, ale nie jest w niej narodem jedynym. Są inne, a te — zwłaszcza Żydzi — nie lubią podkreślania okoliczności, że naród polski jest w Polsce narodem panującym. Idealny był pod tym względem ustrój Austrji. Wspólnym mianownikiem wszystkich narodów byli żydzi. Portret cesarza był wszędzie: w urzędach, gminach, szkołach i w chatach, a to się nazywa duch państwowy.

Wszelkie uproszczenia w mechanizmach są dobre, trzeba tylko, żeby wszystko było mechanizmem. Że zagadnienie państwa nie jest tak proste, o tem „sanacja" miała już czas się przekonać. Na pochyłości jednak trudno się wstrzymać; głowa już kapituluje, ale ręce jeszcze zagarniają, co się da. Do zarządu w TSL weszli napędzeni mechanicznie ludzie niekompetentni, którzy nigdy z ofiarną pracą oświatową nie mieli nic wspólnego. Co oni tam będą robili? Po co im to? Trochę posad, trochę portretów... Nadużywanie aparatu państwowego do psucia roboty kulturalnej — to robota niszczycielska, niczem nieusprawiedliwiona.

Jakiemi siłami umysłowemi i moralnemi obóz sanacyjny rozporządza, o tem mamy możność się przekonać, patrząc na szczyty, dokąd wzlatują duchy najlepiej uskrzydlone. I dlatego właśnie żal nam TSL, do której należeć i której przewodzić było dotąd zaszczytem społecznym.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

OBÓZ NARODOWY I ARMJA

Od jednego z wybitnych przepstawicieli sfer wojskowych otrzymaliśmy następujący artykuł dyskusyjny:

NIE wdając się w dociekanie przyczyn przewrotu majowego, stwierdzimy tylko fakt oczywisty: dokonało go wojsko. Przewrót majowy był zrobiony przedewszystkiem z myślą zgniecenia obozu narodowego. Chociaż w ostatnim rządzie Witosa t. zw. „endecy" byli w mniejszości i był to rząd kompromisowy, walkę zbrojną podjęto przedewszystkiem przeciw nim.

Dlaczego stało się tak, że w ósmym roku istnienia wskrzeszonego państwa znaczna część wojska zapałała nienawiścią do obozu, który przyczynił się walnie w roku 1919 do uchwały o poborze rekruta, a w roku 1920 tak wielką rolę odegrał przy formowaniu Armji Ochotniczej? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie nie jest tylko kwestją akademickiej dyskusji, lecz ma ogromne praktyczne i aktualne znaczenie. Zdanie, że ci wojskowi, którzy w roku 1926 podnieśli przeciw rządowi broń, uczynili to z wiarą w szczęśliwą gwiazdę i genjusz swego wodza, a dla usunięcia jego politycznych przeciwników — nie wyczerpuje bynajmniej zagadnienia.

Splot wypadków dziejowych zrządził, że stronnictwa o ideologji narodowej w czasie Wielkiej Wojny nie miały organizacyj wojskowych, pozostających pod wyraźnym wpływem tej ideologji. I armja gen. Hallera i formacje wojskowe wschodnie trwały zbyt krótko i formowały się w warunkach, które uniemożliwiły nadanie im wyraźnego ideowego oblicza. Politycy Obozu Narodowego nie mieli możności zetknięcia się dłuższego z wojskiem okresu wojny, nie mogli wczuć się w jego psychikę i zrozumieć nurtujących je prądów. Po wojnie z bolszewikami i demobilizacji zdecydowano, że wojsko weszło w okres pracy pokojowej; sprawy fachowe pozostawiono zawodowym oficerom i żądano stale odgraniczenia szeregów wojska od polityki. W sejmie wszelkie wydatki na wojsko były traktowane przez stronnictwa narodowe bardzo przychylnie, ale mowy polityków tych stronnictw ograniczały się do ogólnych o wojsku rozważań i do spraw natury gospodarczej. Ani na trybunie sejmowej, ani w prasie narodowej zarówno różne zagadnienia obrony państwa, jak i codzienne życie wojska nie znalazły należytego oświetlenia. Jeśli dodać do tego zupełny brak poczynań, by położyć kres przygotowaniom piłsudczyków do opanowania władzy w państwie, oraz prawie zupełny brak starań, żeby pozyskać lepszych piłsudczyków dla ideologji narodowej — to otrzymamy grunt, na którym wyhodował się i dojrzał zamach majowy.

Żołnierz współczesny może żyć, lub zwyciężać i umierać w czasie wojny albo ideologją narodową albo ideologją komunistyczną, klasową. Na żadne „państwowe" ideały w duchu „sanacyjnym" tam miejsca niema i być nie może. Żeby dać się zabić z wiarą, że się nie ginie marnie, na to trzeba czegoś więcej konkretnego, niż miraż wielojęzycznej wspólnoty o nieokreślonym charakterze i celach. Kogo nie nauczył i nie przekonał pod tym względem przykład b. p. Austrjackiej monarchji, tego już chyba żadne słowne argumenty nie przekonają.

I dziś jesteśmy w Polsce świadkami dziwnego zjawiska: wojsko, które z natury rzeczy ma i mieć musi wszędzie — pomijam tu państwo komunistyczne—wyraźną ideologję nacjonalistyczną, uchodzi za ostoję główną obozu, będącego tej ideologji wyraźnym przeciwnikiem.

Prawda, duża ilość wojskowych piłsudczyków patrzy z wielką niechęcią na niejedno, czego są dzisiaj świadkami; często są to ludzie, którzy, sami tego nie podejrzewając, są w duszy stuprocentowymi „endekami", ale myśl o tem, że narodowcy mogą przyjść do władzy, napawa ich, mimo to, szczerą troską. Sądzą nierzadko, że politycy narodowi zaniedbają potrzeb wojska, no, i—powiedzmy otwarcie—boją się z tej strony zemsty. Gdyby zechcieli wyczuć lepiej psychikę kierowników obozu narodowego, rychłoby zrozumieli, że niemasz tam ludzi, którzyby dla zaspokojenia żądzy zemsty narazili siłę obronną państwa przez nową „czystkę" w wojsku w stylu sanacyjnym, — tym razem z innego końca.

IGRASZKI HAWAJSKIE

MODNE się stało w ostatnich czasach w szkolnictwie naszem swoiście pojmowane hasło wychowania państwowego, usilnie lansowane przez władze oświatowe, gorliwie kolportowane przez rzesze wizytatorskie, a skrupulatnie uprawiane przez t. zw. „żarliwców", t. j. pewien specyficzny gatunek nauczycieli, którzy licytując w skrupulatności wykonywania nakazów władz szkolnych pospolitych gorliwców, przechodzą niekiedy najśmielsze nawet oczekiwania samych projektodawców, a wprawić mogą w zdumienie każdego objektywnego i zrównoważonego widza.

Plus catholiques que le pape. Powtarza się zwykła wprawdzie, lecz jak zwykle beznadziejnie smutna historja „arcykatolików", lepszych od samego papieża. Rodzi się niepokojąca atmosfera chorobliwej psychozy nastawień i przeczuleń, przybierających niebezpieczne formy w tak przewrażliwionem nerwowo środowisku, jakiem z natury rzeczy bywa środowisko nauczycielskie. Wydaną ostatnio broszurkę prof. Kaz. Kosińskiego p. t. „Józef Piłsudski, a romantyzm" uważać należy za wyrosłą w atmosferze tej właśnie psychozy. Tytuł broszurki, odtwarzającej treść odczytu, wygłoszonego przez autora w jednem z gimnazjów warszawskich, dostatecznie wyjaśnia tendencję autora. Nie chodzi mi tutaj zresztą wcale o *meritum* przedsięwziętej przez autora pracy. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na tezy autora, stanowiące dlań podstawę ujęcia i rozwiązania skomplikowanego zagadnienia romantyzmu, jako prądu życiowego. Niemi się zajmę jedynie.

Po dość ryzykownych i, trzeba stwierdzić, dość mętnych wywodach, ustalających pierwiastki romantyczne w polskiem życiu politycznem w. XVI, przechodzi autor do syntezy romantyzmu polskiego w w. XIX, którą konstruuje wyłącznie na podstawie Mickiewicza, zlekka dotykając Słowackiego, eliminując zaś resztę romantyków łącznie z Krasińskim.

Kult jednostki wybitnej, wielkiej uważa prof. Kosiński za najwięcej charakterystyczną cechę romantyzmu i w całości broszurki szczególne odprawia na jej chwałę nabożeństwo. I założenie słuszne i przeciw nabożeństwu nie możnaby mieć za-

sadniczych zarzutów. Chodzi o to jedynie, do jakiej wielkiej indywidualności modły zanosi. Otóż rdzeń jej duchowy, pracowicie wyabstrahowany z romantyki, tworzy, w koncepcji autora, Konrad z trzeciej części „Dziadów“, „bezlitosny i twardy“, z dodatkiem Wallenroda, „ludzi szalonych”, samotnika, który, „wśród tłumu trzyma z doskonałą słodyczą niepodległość samotności“ oraz zupełnie niewiążącej się z całością syntezy koncepcji „człowieka wiecznego“. W tyglu autorskim różnorodne i sprzeczne właściwości wielkiej jednostki mają cudowną jakąś chemiczną skłonność do stapiania się w jednolity, bez śladu rysy odlew i w przedziwnej harmonji współżyją obok siebie: bezlitosność, twardość, doskonała słodycz i t. d. Logiczniejsza nieco synteza wyłania się trochę dalej. Integralną częścią romantyzmu — powiada autor — jest marzenie o Człowieku wielkim, choćby za cenę macchiawelizmu, albo tyranji, jak w „Królu Ducha“ Słowackiego... To zagadnienie jednostki pogłębił Słowacki dalej, dając jej prawo nieuznawania teraźniejszości mocą indywidualnej siły ducha, a nawet z pognębieniem prawa dla celów narodu... Tu już lepiej rozumiemy, o co autorowi chodzi.

Winduje oto na ołtarz narodowy Wallenroda-Popiela, pada przed nimi na kolana i zanim upadnie plackiem, ogląda się za siebie i wymownemi słowy oraz gesty, choćby za cenę macchawelizmu, wzywa uczestników nabożeństwa do pójścia za jego przykładem.

A to dla tej prostej przyczyny, że słowo romantyczne stało się oto nareszcie ciałem i zamieszkało dzisiaj między nami.

Autor w operacjach powyższych jest całkowicie pewien siebie, nie przeżywa żadnych wahań, nie stawia zastrzeżeń, bo przecież wszystko, co pisze, czerpie z autorytetu i to niebylejakiego, bo autorytetu Mickiewicza i Słowackiego. *Papa dixit*— i kwita.

Konrad, w zapamiętałem zacietrzewieniu miotający bluźnierstwa przeciw Bogu, którego podoba mu się uważać za sprawcę nieszczęść własnego narodu, Konrad, żywa, klasyczna inkarnacja nieokiełznanego samoubóstwienia, Konrad, najwyższa na świecie mądrość i najmocniejsze uczucie, ostatnia we własnem mniemaniu instancja narodu i zgoła całej ludzkości, której to instancji podporządkować się mają ludzie, Konrad wreszcie, namiętnie pożądający szczęścia ludzkości, a jednocześnie z równą namiętnością pragnący ich cierpień i zguby, jeśli ludzie ci nie zechcą oddać mu się w niewolę, by mógł z nich według zachcenia tworzyć konstrukcje, jak z myśli i słów tworzy budowę pieśni — ten oto Konrad staje się dla autora najdoskonalszem wcieleniem piękna moralnego wielkiego człowieka Mickiewicza i stąd przedmiotem szczególnej adoracji. Podobnie bije czołem i innym czynić to każe, przed macchiawelskim i szatańsko pysznym Wallenrodem, przed koszmarnym, despotyzmem wschodnim i tyranją tchnącym, we krwi rozlewie i sadystycznem dręczeniu narodu zamiłowanym Popielem, przed buńczucznym wreszcie, prawo łamiącym Zborowskim.

Na takie jednak bezdroża, na jakie go bezceremonjalnie wciąga autor, romantyzm nie wkroczył. Postacie wskazane nie są w intencji romantyzmu postaciami wielkich moralnie ludzi.

Tak źle jeszcze nie jest, jak tego pragnie interpretator. Stają się one wielkiemi w intencji litylko autora, fałszującego gruntownie dla celów własnych całość ideologji romantycznej. Wallenrod wielkości moralnej nie wyobraża i wyobrażać niemoże, skoro sam z faktu tego doskonale zdaje sobie sprawę, a z czego nie zdaje sobie sprawy autor broszurki. To jedno.

Twardszy jest Konrad, przeto sam Mickiewicz musi wydać wyrok na pysznego megalomana i uzurpatora, strącając go z tronu przywódcy narodu, a osadzając na nim ks. Piotra, „sługę pokornego i cichego”, którego prawym następcą jest ks. Robak, który „nie dla chwały ziemskiej biegł tylekroć na miecze, na strzały”, który „mile sobie wspominał, nie dzieła waleczne i głośne, ale czyny ciche”. Tych dwu wielkich pokorą ludzi, nie zaś lucyferycznego Konrada, wynosi na szczyty doskonałego człowieczeństwa a więc i wielkiego człowieczeństwa. Oni, a nie kto inny, jak pragnie gwałtownie p. Kosiński, są protoplastami tego „człowieka wiecznego”, o którym poeta mówi w prelekcji swej z 30 kwietnia 1844 r. To drugie.

W syntezie filozofji życiowej Mickiewicza, jaką są jego „Zdania i uwagi”, osadza poeta wielkość ludzką na fundamentach „głębszej pokory”, zaleca mądrości iść po radę do pokory, uzależnia posiadanie ziemi od „cichości” duchowej, ustalając konsekwentnie i dobitnie cechy wielkiego człowieka. To trzecie.

A więc najistotniejszym składnikiem duszy wielkiego człowieka Mickiewicza jest czynnik pokory ks. Piotra i jego dalszych, licznych ewolucyj, czynnik, który w miarę rozwoju poety coraz się więcej udoskonala, a do którego doszedł poprzez niedoskonałe etycznie wizje Herkulesa, Samsona, Prometeusza-Konrada. Czynnik ten składa się również na metaforyczne koncepcje „samotnego człowieka”, trzymającego z „doskonałą słodyczą niepodległość samotności” oraz „ludzi szalonych”. Czynnik ten w połączeniu z wielkim rozumem, żelazną wolą i głębokiem uczuciem altruistycznem wcielił poeta w pełną artystycznego życia postać ks. Robaka.

Co się zaś tyczy gloryfikowanych przez prof. Kosińskiego wielkich ludzi Słowackiego, należy stwierdzić, że łącznie z Konradem są oni przedstawicielami tego odgałęzienia wielkiego prądu romantyzmu europejskiego, które w historji literatury nosi nazwę hyperromantyzmu, głoszącego teorję swobody genjalnej jednostki, a będącego „objawem już nie zdrowia, tylko choroby moralnej”, w którym „szacunek jednostki dla samej siebie wyrodził się w samoubóstwienie” (Chrzanowski).

Konrad z Popielem i Zborowskim należy do tej rodziny „wielkich ludzi” romantyzmu europejskiego, której przedstawicielem jest bohater Tiecka, głoszący o sobie: „Ja sam jestem jedynem prawem w całej naturze”, a która nie jest prawem potomstwem romantyki. O tem również nie zawadziłoby pamiętać.

Broszurka prof. Kosińskiego, oparta na fałszywych przesłankach, w układzie chaotyczna i niekonsekwentna, nie zasługiwałaby na bliższą uwagę. Zająć się nią należało z jednego względu: jest konkretnym przykładem, jak się niekiedy stosuje metody wychowania państwowego. Jak to wychowanie w praktyce wygląda, mamy oczywiste dowody w odczycie, stawiającym przed oczy młodzieży podejrzane okazy „wielkich ludzi”, usiłującym otwarcie, w sposób nieskomplikowany a nawet prostacki, siać w młodych duszach kąkol pychy, buty, zarozumiałości i megalomanji — i to

wszystko bez wielkiego nakładu koniecznej ostrożności, ale zato z nadmiarem liczącego na bezkarność tupetu. Na podobne wyczyny pedagogiczne należałoby jednak zwrócić baczniejszą uwagę, gdyż tego wymaga zdrowie moralne młodzieży, a w przyszłości — całego narodu.

Rozstając się z przykrym tematem, nie mogę się powstrzymać od przypomnienia pewnego obrazka z Londona.

Na wyspach Hawajskich istnieje pewien sport. Polega on na tem, że znajdujący się na pełnem morzu pływak, pragnąc prędko i bez większego nakładu pracy dotrzeć do lądu, sprytnie chwyta przebiegającą ku brzegowi falę i na jej grzbiecie, ułożywszy się na uprzednio przygotowanej desce, błyskawicznie dociera do cichej, przytulnej przystani na słonecznem wybrzeżu. London wszelako stwierdza, że sport hawajski jest dość ryzykowny i oprócz sprytu wymaga opanowania siebie i — zdrowej, niesparciałej deski! Stwierdzić muszę, że wehikuł p. Kosińskiego jest wykonany tandetnie, a już sposób cwałowania naprzód, tak poprostu naoklep, z biegiem wysoko wzniesionej fali dzisiejszej, jest conajmniej śmieszny.

J. N.

NAUKA I LITERATURA

O SZTUCE I KRYTYCE KATOLICKIEJ

UCZCIWOŚCI w życiu literackiem domaga się ogłoszona właśnie w polskim przekładzie książka J. Calveta[1]) która z tego chociażby względu zasługuje w dobie obecnej na szczególną w naszem społeczeństwie uwagę.

Wartość myśli Calveta nie polega na logicznej budowie teorji; on raczej stawia tezy, niż je udowadnia. Calvet zdumiewa i uczy zdrowym rozsądkiem w określaniu rzeczywistości.

Rzecz jego w bibljotekach nie zapleśnieje tak prędko, bo nie z nich wyszła, chociaż jest poparta kulturą humanistyczną i studjami teologicznemi; ona powstała z zastanowienia się nad społecznem stanowiskiem i finansowemi warunkami bytu książki francuskiej.

Ale myśl C. tak bieży w gruncie aktualnej rzeczywistości, że ścieka w różnych kierunkach, tając swe główne źródło. Praktyczne wskazówki są cenne, ale pod niemi nie widać głębszych uzasadnień. I chociaż czyta się to dziełko z wzrastającem ożywieniem, jakkolwiek najczęściej potakuje się autorowi, to jednakże do końca nie staje się jasne, co to może być i czy jest krytyka katolicka?

*

Autor odrazu postawił to zagadnienie i odpowiedział poprostu: jest, „o ile są katolicy, obdarzeni talentem krytycznym.“ Czem się oni różnią od innych krytyków? — Tem, że po swojemu, religijnie pojmują życie. A że religia nie jest niedzielną rozrywką, ale pewnym sposobem „bycia, czucia, myślenia i działania“, więc kto jest katolikiem naprawdę, „ten wszystko, cokolwiek czyni, czyni w sposób katolicki“ (str. 13). Taki i krytykować będzie po katolicku, „ponieważ każde życie przejawia się zgodnie z naturą swoją“. (str. 14)

W tym porządku autor wnioskuje, że może być katolickie „wystruganie chodaków“, „wyoranie bruzdy“, praca w finansach lub polityce. Mógłby się zgodzić i na katolicką geometrję, protestancką chemję, prawosławny przemysł włókienniczy i t. p. Nazwy te, zgodnie z logiką C. miałyby oznaczać istotę tych rzeczy, ich określony religijny charakter.

*

Inna sprawa, że katolicka koncepcja życia jest dramatyczna i że w istocie tragizmu tkwi żywioł walki, złączony ściśle z duchem chrystjanizmu, religji nawskroś bojowej. Psychologja twórczości winna te rzeczy uwzględnić. Ale chociaż dusza ludzka, mając — dzięki wolnej woli — wielkie możliwości przekształceń, nie jest z natury chrześcijańską, to i tak chrystjanizm nie stanowi kategorji w sztuce, a „na artyście katolickim nie ciąży żaden odrębny porządek estetyczny, któryby wychodził z jego wiary.“ (144).

Podzieliliśmy stosunek człowieka do „zewnętrznego“ bytu na religję, naukę i sztukę; czy są to trzy różne aspekty tej samej rzeczywistości — niewiadomo; łączą się one, jako w pewnej mierze odrębne uzdolnienia, w energji psychicznej niepodzielnej osobowości, w działaniu, w wielkim wysiłku ludzkim, łączą się one „czwartym wymiarem“, mistyką. [2])

Uniesienie mistyczne jest bohaterstwem (jak świętość) na tle obowiązku religijnego. Ma charakter nadnaturalny i nic ścisłego o niem powiedzieć się nie da, dlatego trzeba utrzymać tradycyjny podział i nie mieszać religji z nauką czy sztuką. W granicach badania trudno mówić o estetycznem przeżyciu specjalnie katolickiem czy też o katolickiej nauce o sztuce.

W określeniu: „dramat katolicki“, „powieść katolicka“— nie mamy na myśli formy tych rodzajów literackich, ani ich strony ściśle artystycznej, suggestjonującej pięknem, jeno bierzemy każdy taki utwór osobno, zwracając uwagę na motywy i odblask pewnych przeżyć pisarza: Analogicznie więc możliwy jest dramat komunistyczny, liryka urbanistyczna, sonet miłosny. Zresztą — sam C. powiedział, że z katolickiej wiary nie wynika żaden odrębny porządek estetyczny.

C. usiłuje określić krytykę jako czyn społeczny i jako szukanie prawdy. Czyn społeczny zaś musi się Bogu podobać, a prawdy absolutnej poza Bogiem niema. Przypomina to mistykę S. Goszczyńskiego i może być słusznem, co jednak nie pomoże w określaniu krytyki katolickiej. Sam C. powiedział, że nie wystarczy dobre sumienie, że krytyk musi mieć jeszcze talent. I to niebylejaki jeno krytyczny. Ten talent jest charakterystyczną istotą sprawy, a sumienie jak zawsze, Aniołem Stróżem człowieka, jego wewnętrzną karnością i źródłem sił.

*

Literatura i jej krytyka są zjawiskami cywilizacji, która w pewnych warunkach promienieje do duszy twórcy, dając mu kulturę. Katolicyzm nie jest cywilizacją, jakkolwiek dał główne podstawy życiu narodów europejskich. Największą naturalną społecznością jest niewątpliwie naród—i naszą np. skłonnością w dalszym rozwoju jest: kształcić polskość. Temu ma służyć i sztuka, zmuszając ją do tego przyrodzone prawa psychiczne, którym służy, jako żywioł. Jej krytyka jest organem świadomości narodu w tej dziedzinie jego twórczości, powinna więc uczestniczyć w określaniu naszej odrębności cywilizacyjnej, aby pouczać artystów o głównym motywie ich pracy.

Same kryterja formalne i określenia wewnętrznego życia utworu — to nie są jedyne sposoby i obowiązki krytyki, one raczej muszą wystarczać historykowi literatury, ale kto krytykuje obecność, powinien wobec niej zająć postawę polityczną. Zamiłowanie w gorliwem tropieniu, zmysł odróżniania piękna i brzydoty, przymiot wzruszania się i podziwu (str. 31 — 35) — to nie wszystko, co winno cechować krytyka. Sam C. radby wzbogacić te cnoty o wykształcony zmysł religijny, a należy zorganizować je w duszy pod władzą świadomości i instynktu narodowego. Wyoranie brózdy czy wy-

[1]) „O twórczości i krytyce katolickiej“, przekład A. Górskiego, nakład Księg. św. Wojciecha.

[2]) „Poeta powinien być człowiekiem duchowym, to jest szczerze, głęboko i wysoko religijnym, w duchu religji objawionej, poza którą niema ani prawdy, ani prawdziwej piękności“... Seweryn Goszczyński, „Stanowisko poetów w społeczności“, rok 1843, t. I, str. 107.

struganie chodaków bez tej świadomości się obejdzie, ale krytyka nie, bo nie zrozumie istotnych praw, według których przebiegają zjawiska twórczości w sztuce. [3])

Według C. krytyk powinien trzymać się „rozważań o prawdzie, pięknie, ludzkości, — jedynych, jakie powinny mieć dla niego znaczenie“ (str. 25) Te cele tak sformułował dla przeciwstawiania szlachetnych dążeń trosce wyłącznej o korzyści finansowe. W innem miejscu bardziej treściwie uzupełnia obowiązki krytyki:

„Krytyka, ochraniając prawość świadomości moralnej i czystość smaku, może zachować charakter oryginalny naszego piśmiennictwa narodowego. Każda rasa ma swój wyraz estetyczny, a wyraz ten ma tem większe znaczenie, z im większą doskonałością oddaje głęboką naturę tej rasy i jej prawa tradycjonalne. Nie mam zamiaru posuwać tego twierdzenia aż do ciasnego nacjonalizmu w literaturze, jednak, czy to jest źle czy dobrze, istnieje duch francuski, a nam Francuzom więcej przystoi strzec go, niż zaniedbywać“. (Str. 72)

Takie zrozumienie sztuki nie okrawa jej horyzontów, tylko ją rozszerza w prawdzie. Niema lepszej kultury ducha artysty, jak narodowa; ona, najlepiej kształcąc zdolności do mistyki, energję jego kieruje ku Bogu, zamiast ją rozlewać po globie. Na miejsce niedostrzegalnej, niekochanej, nieinteresującej ludzkości wszedł największy konkret społeczny— naród. On najlepiej pobudza do działania. Krytyka jest czynem społecznym i powinna być świadomie narodową.

*

Chcecie niszczyć pornografję, chronić doktrynę katolicką, przedstawianą w sztuce, przed fałszami, strzec świętości od profanacji w piśmiennictwie pięknem, piętnować głoszone w niem niemoralne idee a wynosić moralne, szerzyć katolicyzm wśród literatów, wydawców i publiczności?

— Doskonale; jesteście potrzebniejsi dziś bardziej, niż kiedykolwiek; winniście w narodach mieć mir, jako wysłannicy Boga. Ale wobec tego jesteście moralnem zrzeszeniem misjonarzy świeckich, nieoficjalną Kongregacją Indeksu, ale nie krytyką literacką. Książka J. Calveta powinna nosić tytuł: „Rekolekcje katolickie dla krytyków i twórców“, bo tak zresztą jest napisana.

TADEUSZ DWORAK

---

[3]) Sam akt tworzenia pozostanie — niewiadomo dokąd, tajemnicą, przypomina on działanie soczewki wypukłej, skupiającej promienie w jeden punkt, który zarazem świeci: zjawisko jednoczesnej koncentracji i rozchodzenia się fal. Dusza twórcy jest taką soczewką w świetle cywilizacji narodowej.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W dniach 23 i 24 maja odbył się w Warszawie VI zjazd Polskiego Towarzystwa Językoznawczego. Po załatwieniu spraw administracyjnych wysłuchano ciekawego odczytu ks. dr. K. Gołembiewskiego (z Torunia) p. t. „Z psychologji mowy według św. Augystyna“; prelegent zajął się dwoma głównie traktatami genjalnego Ojca Kościoła: *„de magistro“* i *„de doctrina Christiana“*, w których wyłuszczone zostały poglądy, dochodzące nieomal do tychże wyników, do jakich dochodzi po 1500 latach dzisiejsze językoznastwo, od Saussure'a począwszy... Prof. A. Kleczkowski zajął się wyjaśnieniem etymologji wyrazów „gamrat“ i „gach“; następnie prof. M. Rudnicki, opierając się głównie na nazwach geograficznych, ukazywał dowody, przemawiające za tem, że autochtonami dorzecza Wisły i Odry w epoce przedhistorycznej byli Wendowie czyli Słowianie. Dalsze referaty miały za przedmiot kwestje gramatyczne. Prof. J. Kuryłowicz na podstawie Psałterza Florjańskiego wykazywał, jakie zmiany i jaką drogą dokonywały się kolejno w bierniku l. mnogiej, rzeczowników osobowych męskich (syny — synów). Głównym tematem rozpraw były jednak kwestje fonetyczne. Istotę fonematu (jednostki dźwiękowej) rozważał prof. Doroszewski, szerzej rozwijając swe poglądy na tę sprawę, wyłożone niedawno w „Pracach filologicznych“. Dłuższą dyskusję podjęto na temat systemu fonologicznego naszej mowy; zagajeniem i podłożem dyskusji była rozdana członkom P. T. Jęz. broszurka prof. Szobera, stanowiąca odbitkę z drukującego się właśnie nowego wydania jego gramatyki (dzieło to omówimy wkrótce obszerniej). Zamknięciem zjazdu był odczyt prof. Wilman-Grabowskiej „O zdaniu w języku irańskim i indyjskim“. (J. B.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Przyczynek do charakterystyki naszej epoki literackiej. Utalentowany z natury poeta Jan Sztaudynger ogłosił w Poznaniu 1931 r. zbiór poezyj pt. „Ludzie“. Są to poetyckie widzenia takich postaci: Wysocka, Solska, Solski, Chopin, Garczyński, Kasprowicz, Feliks Jasieński, Jacek Malczewski, Słowacki, Wyspiański, Wyczółkowski, Rostworowski, Zegadłowicz, Wl. Hofman. Wszystkie zarysy kreślone ręką świadomą prawdy, jaką każda z owych postaci reprezentuje. Autor wie, że uchybiłby sobie jako artysta, gdyby chybił właściwego każdej duszy charakteru: jest baczny, subtelny, wiedzący i odczuwający prawdę. Tylko w jednym wypadku z prawdą i dydaktyczną i wewnętrzną się nie liczy. Mianowicie gdy chodzi o Polskę. Gdy się pisze o Wysockiej, czy Solskiej, trzeba czuć prawdę, ale o Polsce można pisać, co wypadnie — zależnie od tego gdzie się pióro umacza. Według Sztaudyngera — Polska do przewrotu majowego:

Na słomianych stała nogach,
Czołem biła kto ta chciał,
Zakochana w cudzych bogach,
Niewolnica w własnych progach itd. itd.

O jednej tylko Polsce wolno poecie polskiemu nic nie wiedzieć, wolno jej nie przemyśleć, nie rozumieć, wolno ją lekceważyć, zniesławiać; wolno artyście jej kosztem dobywać z siebie fałszywy ton, aby napisał ordynarny panegiryk dla możnej osoby. I ogłosić taką rzecz wolno w 1931 r., kiedy najprostszy, ale uczciwy człowiek złożył już w proteście świadectwo prawdzie. Pięknoduch poeta jest wolny od prawdy, jeśli chodzi o Polskę; Tu przysługuje *licentia poetica*. Więc wolno mu być rabem i śpiewać: „Błogosławmy siłę męża, który nam na karki siadł“. (Z. W.)

*

Zmarły w r. ub. Feliks Chwalibóg wydał z dużym wysiłkiem finansowym na krótko przed śmiercią cztery serje w drobnych książeczkach (Skład główny w Krakowie w Księgarni Gebethnera i Wolffa) swoich aforyzmów pt. „Aforyzmy, Refleksje i Nowe przysłowia“. Większą część tych wypowiedzeń ogłosiła za życia autora „Myśl Narodowa“. Podziwiano w nich wytworność myślenia i wysłowienia człowieka wysokiej kultury. Feliks Chwalibóg niejednokrotnie wypowiadał się na szpaltach pism narodowych, a forma wyrażania sądów i poglądów w sposób aforystyczny a zarazem głęboko przemyślany była jego talentowi najbardziej właściwa. Wydane teraz zbiorowo aforyzmy i refleksje na przerozmaite tematy, świadczą o mądrości życiowej ich autora i kulturze umysłu. Charakterystyczną ich cechą jest sarkazm nad ludzkiemi małostkami, wywodzący się ze znajomości duszy ludzkiej w jej czynnościach skrytych i podświadomych. Czasem też odzywa się w tych aforyzmach i refleksjach nuta serdecznego współczucia. Właściwości te były podstawą humoru Chwaliboga. Humor filozoficzny, płynący z zestawienia rzeczy wielkich z małemi, był zasadniczą cechą tego talentu. (A. W.)

*

Zbiór szkiców literackich Zenona Kosidowskiego pod tytułem „Fakty i Złudy“, wydany przez Księgarnię uniwersytecką w Poznaniu, ma za przedmiot przeważnie sprawy współczesnego teatru. Autor, poeta i krytyk, interesuje się nowatorstwami inscenizacji, ma dla nich bystre i przenikliwe zrozumienie. O utworze St. Ignacego Witkiewicza „Metafizyka dwugłowego cielęcia“, pisze, że „autorowi chodziło o wyzwolenie sceny z przesądów literacko-estetycznych i oddanie jej w posiadanie tłumów, wzniesionych przeżeń na wyżyny mistycznego przeżywania“. Ponieważ jednak St. I. Witkiewicz dąży w swych utworach „do zreformowania psychologicznie i życiowo logicznego wątku“, zauważa Kosidowski melancholijnie, że próba ta „nie prowadzi do rozwoju teatru, lecz nad przepaść, skąd zdaje się nie być wyjścia“. Ważkie i pięknie wypowiedziane są krytyczne spostrzeżenia autora, jako sprawozdawcy teatralnego, o premierach „Róży“ Żeromskiego, „Turandota“ komedji *dell'arte* Gozzi'ego w przekładzie i stylizacji Zegadłowicza, dalej ze sztuk Pirandella, Shaw'a, Al. Dumas'a, Andrejewa, Czapka, i może w tem towarzystwie zupełnie zbytecznego fabrykatu scenicznego „Koncert“ Bahra. Prócz tych sprawozdań tom „Fakty i złudy“ zawiera portrety psychologiczne E. Zegadłowicza, artystki dramatycznej St. Wysockiej, zapoznanego poety Romana Wilkanowicza i garść wspomnień o wydawnictwie w Poznaniu czasopisma „Zdrój“. Żywość pióra p. Kosidowskiego, zmysł krytyczny, świeżość i dar uplastyczniania wrażeń, stawają wbrew obawom i wątpliwościom wyrażonym w przedmowie

książkę tę w literaturze naszej obok lepszych studjów poświęconych sprawom teatru. (A. W.)

•

Rozwija się nasza literatura podróżnicza. Po Jerzym Bandrowskim, Goetlu, Ossendowskim, Makarczyku, Lepeckim, zaczyna w niej się wybijać Kamil Giżycki. Niedawno na tem miejscu zwracano uwagę na jego nader ciekawą książkę, zatytułowaną „Przez Urjanchaj i Mongolję", a opowiadającą o przeyciach samego autora po rozbiciu V dywizji wojsk Hallera (Sybcryjskiej). Dalszym ciągem tej książki jest (wydana nakładem „Księg. Polskiej" Tow. Pol. Macierzy Szkolnej 1930) garść „listów z podróży", noszących tytuł „Ze Wschodu na Zachód". Temat jest mniej więcej ten sam, co w książce Bandrowskiego p.t. „Przez jasne wrota": podróż „na ojczyzny łono", ściśle mówiąc, część tej podróży, której pierwszym etapem jest port mandżurski Dajren, a ostatnim Marsylja. Od Bandrowskiego tem się Giżycki różni (a tem samem nad nim góruje), że wrażenia swoje spisuje na gorąco, bardziej bezpośrednio, są to prawdziwe listy, zapewne mało nawet odmienione podczas przystosowywania do druku. Autor ma dar bystrej obserwacji, żywy styl, barwny i czysty język, duży zmysł humoru — dzięki temu książkę czyta się z zajęciem. Interesujące są relacje o teatrze chińskim, o innych obyczajach tegoż narodu, o Arabach i Hindusach, piękna jest opowiastka a raczej legenda o przyczynach żywej kolorystyki oceanu Indyjskiego; rzewnym sentymentem uderza epizod wspomnienia o „żołnierzu Stachu". Autor zapowiada wydanie dwóch jeszcze książek: „Golgota" (o przejściach żołnierzy dywizji syberyjskiej) i „Awantury chińskie". Czekamy z zaciekawieniem. (J. B.).

•

Ukazało się nowe wydanie popularnej w świecie sportowym książki Władysława Kuchara i Zdzisława Stahla „Tennis". (St. 144. Rycin 66. Wydawn. Ossolineum. Lwów. Cena zł. 3). Podręcznik ten odpowiedział widać doskonale potrzebie białego sportu. Pisany zwięźle i jasno, ilustrowany obficie zdjęciami najwybitniejszych tennisistów polskich i zagranicznych, daje na 144 stronach wszechstronny pogląd na sport tennisowy. Zdzisław Stahl jest teraz posłem.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wielki, ale i zasłużony sukcej odniosła najnowsza powieść austrjackiego pisarza Franza Werfla p. t. „*Der Abiturirententag*". (Zoolnay — Wiedeń 1931). W dniu 25-cio lecia, rocznicę matury ma się odbyć skromna uroczystość jubileuszowa. Tegoż dnia dowiaduje się jeden z jej uczestników, sędzia śledczy Sebastian, że domniemanego mordercę Adlera osadzono w areszcie śledczym. Odkłada jednakże dokładniejsze śledztwo na później i udaje się chętnie na ów obchód rocznicy. Wśród galerji typów szarości codziennej, odżywają lata gimnazjalne, budząc raczej niemiłe refleksje, które się stają wręcz natrętne, gdy jeden z uczestników naśladuje udatnie profesora łaciny. Pada nazwisko Adlera i wywiązuje się żywa debata na temat jego uwięzienia. Każdy sobie przypomina rozmaite szczegóły, związane z Adlerem. Po zakończeniu tej karykaturalnej uroczystości wraca Sebastian do siebie, ścigany furjami wspomnień, nieubłaganemi wizjami lat szkolnych, wyrzutami grzechów młodości. W domu przesuwa się przed Sebastianem bolesny etap jego życia, którego smutnymi bohaterami byli on i Adler oraz kilku innych kolegów. Sebastian, syn prezesa Najwyższego Sądu, to tchórz w miarę podły i przewrotny, o intelekcie przeciętnym. Pod wpływem zadraśniętej miłości własnej, urażonej ambicji budzą się w nim złe skłonności, które popychają go do zniszczenia życia Adlera, chłopca wybitnie inteligentnego, o usposobieniu spokojnem i dobrem. Wraz z kilkoma kompanami demoralizuje Sebastian Adlera systematycznie, choć nie wie, do czego to doprowadzi. Nasyca naraz swe uczucie zemsty. Popełnia wreszcie fałszerstwa i przychwycony na tem wraz z Adlerem spycha bez skrupułów winę na tegoż w prywatnej rozmowie z profesorem. Po nieudanej próbie wspólnego samobójstwa (Sebastian tchórzy w ostatniej chwili) kradnie Sebastian ciotce kosztowności, spienięża je i wyprawia Adlera do Ameryki, złamawszy mu życie. Te wspomnienia podnieciły sędziego silnie, wytrąciły wprost z równowagi. Drży teraz przed śledztwem bo nie śmie Adlerowi spojrzeć w twarz, bo świadom jest, że przyczyną jego upadku jest on sam. Na śledztwie, prowadzonem w cztery oczy, wyznaje Adlerowi całą prawdę — błaga o przebaczenie — a ten nic nie rozumie. Okazuje się, że to jakiś inny Adler.

Dziwna mieszanina elementów brutalno-naturalistycznych i liryzmu romantycznego, nie w stylu Gide'a, bo tchnąca poczuciem odpowiedzialności, głębokie wniknięcie w psychikę ludzką, precyzyjność w kreśleniu postaci — oto niezaprzeczone zalety tej ciekawej książki. (A. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NIE skończyłem jeszcze omawiania wiosennego Salonu Zachęty i dziś powracam do tego samego tematu, zgóry zastrzegając, że nie o wszystkich napiszę, gdyż krytyk nie ma obowiązku robienia z recenzji katalogu. Zaczynam od p. Mieszka Jabłońskiego. Malarz wystawił akt kobiecy. Wiele osób się pytało, czy to Weiss? — i nie bez powodu: Jabłoński rzeczywiście wygląda jak gorszy Weiss. Czy nie wartoby już skończyć z naśladowaniem nauczyciela? Pozatem obraz dobry i dobrze malowany, jedynie wskutek zbyt wyraźnego rozgraniczania kolorów, ciało ludzkie np. wygląda jakby pozszywane z różnobarwnych plam.

P. Czesławowi Kuryatto nikt nie może odmówić pewnych zdolności, natomiast o smaku artysty źle świadczy skłonność do używania efektów w stylu „demoniczno"-buduarowym. Pejzaże Karmańskiego i Krassowskiego mają dużo zalet malarskich; pokrewny typ współczesności, przy żywszej nieco gamie kolorystycznej reprezentuje J. Krzyżański w swojej „Damie z książką".

Zmęczony był zapewne M. du Laurans, gdy malował „Portret Damy", zmęczona była prawdopodobnie i dama pozująca do portretu. Tadeusz H. Dąbrowski ma dużo kultury i wyczucia i powinien usilnie pracować nad rozwojem innych, niewątpliwie istniejących, możliwości swego talentu. P. Rudnicki Jan jest zapewne wziętym portrecistą; kto się chce poświęcić tej specjalności, musi często rezygnować z wielu aspiracyj. Jedni robią to tylko z musu, a drudzy z upodobaniem. W każdym razie portretowanie pięknych dam nie uwalnia od dobrego rysunku — piękna pani musi być nawet dobrze rysowana. Niestety R. rysuje b. powierzchownie i niedbale, przytem używa stale tej samej i mało pomysłowej faktury, co grozi manierą.

A. Gawiński wystawił kilka, tak zwanych, fantazjy. Są to rzeczy bardzo kolorowe, ale zestawienie tych barw przypomina mi wyszukane rymy w rodzaju: tęsknoty — złoty, maj — gaj i t. d. Portret Siemiradzkiego posiada duże zalety kolorystyczne i wyraz; w tą gamę ściszoną dobrze byłoby wprowadzić jakiś akcent żywszy. Kompozycja portretowa J. Heydukowskiej ujawnia duże ambicje rysownicze autorki, nie pozbawiona jest jednak pewnych usterek rysunkowych, wypływających ze zbyt powierzchownego określania formy.

W dziale grafiki wyróżniają się prace: Kaniewskiego, Osseckiego i Śrzednickiego, a w dziale rzeźby—bronz T. Karnego. (W. P.)

NOWE KSIĄŻKI

Czernik Stanisław. Poezje. Serja I. Warsz. 1931. Skład w Domu Ks. Pol.

Birkenmajer Józef. Legenda Łysogórska o Bolesławie Chrobrym (Studjum) Lwów 1931.. Ossolineum. Odbitka z „Pamiętnika Liter". t. 28. Str. 17.

Nažuranić Ivan. Śmierć Smail — Agi Czengića. Z przedmową dr. Milatina Cihlara-Nehajeva. Przeł. Antoni Bogusławski. Warsz. 1931. Dom Ks. Pol.

Linja. Czasopismo Awangardy Literackiej. nr. 1 (maj 1931) Kraków. Redaktor Jalu Kurek.

Jasiński Zbigniew. Rejs do Rygi (Poezje) Poznań 1931. Bibljoteka Studwudziestu t. XV. (100 egz. num.)

Demczyk Tadeusz Juljusz. Student z podwawelskiego grodu (Poezje) Kraków 1931. Dom Ks. Pol.

Sztaudynger Jan. Ludzie. (Poezje) Poznań 1931. Druk. Mieszczańska.

Sztaudynger Jan. Rzeź na Parnasie. Poznań 1931. Druk. Mieszczańska.

Szumilas Paweł. Historja, Romanek i in. opowiadania. Warsz. 1931. Dom Ks. Pol.

Flukowski Stefan. Pada deszcz. (Nowele). Warsz. 1931. „Kwadryga" Dom Książki Pol.

Obywatel. Głos sumienia polskiego. Poznań 1931. (Przeciwko Str. Narodowemu w obronie Brześcia).

Przegląd Współczesny. Kraków, maj.

Feliński M. Ukraińcy w Polsce odrodzonej. Warsz. 1931. Str. 141. Książnica Polska-Atlas.

Brzeska Wanda dr. Lata szkolne Jana Kasprowicza. Inowrocław 1872 — 1879. Poznań 1931. Str. 127 z ilustr. Poznań 1931. Bibl. Studwudziestu, t. XIII.

OFENSYWA

„SANACJA" I SOWIETY

O TYCH rzeczach można pisać albo z wściekłą indygnacją siekąc batami ze skorpjonów, rzucając wiązkami piorunów, czy też bombami łzawiącemi, albo też znowu całkiem inaczej, na inny manjer. Tyle razy pisało się ciężko i młotem, raz spróbujemu całkiem inaczej. A mianowicie poprostu propozycja, względnie prośba, względnie postulat w formie propozycji, względnie domaganie się w formie prośby.

Jest rzecz taka:

Pan Mackiewicz, redaktor wileńskiego „Słowa", który wrócił z Sowietów po miesięcznym pobycie, zdaje z tego sprawę. Jak na konserwatywnie-sanacyjnego monarchistę i *cler'ka* bądź co bądź latyfundystów i obszarników (wynędzniałych, a jeszcze wstydzących się żebrać) effuzje p. Mackiewicza są przesadnie entuzjastyczne, w międzywierszach odczuwa się olśnienie i ciągoty. Opiłki słowiańskie zaczyna już przyciągać Magnitogorsk (Magnetberg) sowiecki. Mniejsza z tem. Dożyjemy my jeszcze sensacyj, dożyjemy i nie takich. Osiwiałby w jedną noc, ktoby miał wizyjną imaginację antycypacji tego, co nadchodzi. Ale mniejsza z tem. P. Mackiewicz dementuje kilka pierwszych z brzegu czarnych legend o czerwonem carstwie. Między innemi o sowieckiej deprawacji i dyssolucji erotycznej.

Czytamy tedu w burżuazyjnem, ziemiańskiem, wielkoobszarniczem ale kresowem (to najważniejsze) „Słowie" wileńskiem *quod sequitur:*

„Rozpustą we właściwem tego słowa znaczeniu, nazywamy rozwiązłość obyczajów, ekscesy seksualne i t. d. Otóż prostytucji w Rosji sowieckiej niema — a jeśli gdzieś się tuła i kryje, to jednak mowy niema o prostytucji tak jawnej, widocznej, jak nietylko w Paryżu, Berlinie, Warszawie, lecz w Londynie. Pozatem całe nastawienie aparatu państwowego skierowane jest na walkę z jakąkolwiek bądź podnietą erotyczną. Istnieje w Moskwie *Music-hall*, lecz baletnice są tam ubrane od stóp do głowy. O zakazie śpiewania i grania romansów cygańskich ze względu na to, że uznano, że są erotycznie podniecające, już wspominałem. Tańce są zakazane, młodzież komunistyczna może tańczyć tańce przyzwoite, — tańce tańczone u nas na balach towarzyskich są tam traktowane na równi z prostytucją. Łatwość zawiązywania stosunków seksualnych! — Skąd ta łatwość ma być większa niż w Europie? Przeciwnie — powszechna bieda, nędza, stanie ciągłe w kolejkach (a raczej kilometrowych kolejach) po wszystko, złe odżywianie — wszystko to są momenty odsuwające, powstrzymujące życie od wchodzenia pod znak wybujałego erotyzmu. Pozatem chciałbym tę sprawę ująć głębiej i zastanowić się trochę nad tem, co wyżej powiedziałem, na „purytańskim" kierunku ideologji bolszewickiej w stosunku do podniet erotycznych. Gdy się tam ilustruje burżuazyjną Europę, chętnie się ją ubiera w kokoci negliż. Panait Istrati, właściwie komunista, napisał trzy tomy antysowieckiej propagandy. Nazwany został przez komunistów oszczercą. A jednak Panait Istrati oświadcza, że mimo wszystkich okropności, woli świat sowietów, niż świat burżuazji i zupełnie po literacku odpowiedź na pytanie dlaczego, zamyka w obrazku, jak mu w paryskim domu publicznym pokazywano miłość kobiety z psem".

Poczem Cat-Mackiewicz cytuje ex-komisarza Łunaczarskiego opis burżuazyjnej zabawy w przeciętnym europejskim dancingu:

„Nigdzie tak dobrze nie demaskuje siebie świat burżuazyjny, jak w *dancing-room*. Ten drewniany, martwy rytm *jazz-bandu* i wrzaski saksofonów, te szarpania i dryganie, jakieś nieobyczajne dreszcze tej gęstwy ludzkiej, gdzie nikt się nie uśmiechnie poprostu, po ludzku, świeżo i przyzwoicie. Kobiety namalowane, twarze ich są podobne do kolorowych masek. Można pomyśleć, że ci wszyscy ludzie najęci są po to, aby nogami miesić jakieś ciasto. I całem zajęciem dyryguje jakiś negr małpopodobny. Na jego znak całe stado zatrzymuje się, lub zaczyna znów podskakiwać i drygać nogami".

Panu Mackiewiczowi ze „Słowa" daje to asumpt do porównywania Europy do Rzymu z epoki Nerona (z „*Quo vadis?*") i do przypominania, że Pompeja i Herkulanum, zasypane i zalane przez Wezuwjusz, też uprawiały z frenezją kult tańca i kult Fallusa, który to kult wraz z rozpasaniem erotyczno-płciowem tak charakteryzuje dzisiejszą burżuazję.

Dlaczego to wywlekamy pod światło?

Ano dlatego, że z krakowskiego „Kurjera Codziennego Illustrowanego" wynotowano ostatnio ot takie trzy inseraty, inseraty kuplerskie, inseraty stręczycielskie, inseraty stręczące do nierządu:

1) „DESPOTA dyskretny, inteligentny, szuka niewolnicy. Panie z Poznania lub okolicy, o bardzo nieprzeciętnych pragnieniach, zechcą się zgłosić do I. K. C., oddział w Poznaniu, św. Marcin 48, pod nr. 35020".

2) „100% DZIEWICA poszukuje absztyfikanta. Zgłoszenia I. K. C. Kraków, Wielopole pod „Chciałabym"...

3) „PECHOWIEC, dobrego towarzystwa, wyższe wykształcenie, 39 lat zgodzi się na najdziwaczniejszą życiową kombinację stałą lub czasową tu lub zagranicą byle mieć wygodne życie, bez wiecznej troski o jutro... Panie bez różnicy wieku, wyznania, narodowości — piszcie: — I. K. C. Wilno, Wileńska 26, „*Sapienti Sat*"".

I takich mnóstwo! Każdego tygodnia, każdego dnia. Takiego stręczenia nie uprawia systematycznie żaden dziennik na kuli ziemskiej. Zaprzestały tego proceder pisma bulwarowe paryskie („*Journal*", „*Soir*") nie uprawiają tego anonsowego kuplerstwa nawet pisma bukaresztenskie.

Z polskiej prasy ani jedno, nawet brukowce. Tylko jeden jedyny krakowski kurjerek stale, systematycznie, mimo gromień przez resztę prasy, ciągle i nadal.

I w tym to krakowskim „organie opinji publicznej" drukują od czasu do czasu wywiady swoje panowie ministrowie z „sanacji" i rozmaici dygnitarze prozapji lodomeryjskiej. I to jest bardzo niedobre i karygodne. Z tańczenia po dancingach oficjalnych naszych osobistości nikt nie będzie im wytaczał sprawy, aczkolwiek w Europie nigdy w stolicach, gdzie rząd rezyduje, jego członkowie po dancingach nie foxtrottują (wyjątkowo w miejscowościach kąpielowych, kuracyjnych, no i prywatnie). Nie mają „prywatnie" gdzie tańczyć, niechże sobie fikają, skoro ich „radosna twórczość" rozpiera *coram publico*.

Natomiast drukowanie wywiadów ministerjalnych w brukowym dzienniku, który stręczy do nierządu za to tylko, że stręczy równocześnie do rządu... no, to jest *curiosum* i to pora już napiętnować.

Czytajcie panowie, co pisze wasz Mackiewicz o Rzymie za Nerona, o „*Quo vadis?*", o Pompeji i Herkulanum! I opamiętajcie się!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Gazeta Polska" była jedynym dziennikiem, który o zmianie gabinetu nie miał nic do powiedzenia. Spostrzegła to „Gazeta Warszawska" i zaznaczyła jako fakt charakterystyczny. P. Miedziński wściekły, bo w nadziejach zawiedziony, odpowiada na to „pismu" obłudnych dewotek"(?):

— Mamy swoją opinję wygłaszać na to, żebyście znaleźli temat „w przekręcaniu naszych artykułów, jakeście to już często czynili"?

Osobliwa sytuacja publicystyczna! Ale, nadrabiając miną, p. Miedziński dodaje:

— „Spokojnie, nie denerwujcie się, panowie. Przyjdzie czas to się dowiecie".

Nikt się nie denerwuje, zresztą nic ciekawego. Tylko śmiech bierze, gdy człowiek patrzy na to całe towarzystwo. Te manjery dziennikarskie! Jakby słyszeć stójkowego rosyjskiego: „*Rozchoditieś, gospoda!* W swoim czasie dowiecie się, co się stało".

•

Od pewnego czasu „Tygodnik Illustrowany" tak wydelikatniał, że głośno syka, gdy kto gdzie żydowi na odcisk nastąpi. Syk dobywa się zazwyczaj z „Idej i zdarzeń" czyli rubryki w rodzaju „Refleksyj", pisanej bezimiennie, lecz stylem podobnym do samego Srula Wasserzuga. To jeszcze dajmy na to... na rynku nie szkodzi, bo według modnej dziś idei literatów złotego środka jest-to sprawa „ocen subjektywnych", czyli (z właściwą rzeczy poprawką) sprawa oceny subjektów rynku księgarskiego. Dobrze. Ale poco fałszerstwa? Czy bez fałszerstw nie można sobie sykać na zdrowie?

Zaczepiono w „Idejach i zdarzeniach" o szkic St. Pieńkowskiego, w „Myśli Narodowej" drukowany, p. t. „Budowa". Tam w miejscu, gdzie była wycieczka w stronę żydów, mowa była o „aformizmie", zaś autor „Idej i zdarzeń" skreślił sobie literę „a" i udał przed swoimi czytelnikami, że pisał o „formizmie", na czem też całą oparł swoją polemikę — prawdziwie rasową!

— „Maleńkie „a"... Ny, co jest!? Czy to kryminał?"

Zapewne, panie Srul, że to nie kryminał. To tylko bardzo znamienny okaz sposobników, któremi prowadzi swoją politykę obecny „Nasz Tygodnik Illustrowany"

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57! — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.